AS



Nr. 45
7 LISTOPADA 193
CENA 40 GROSZ

WALC WIEDEŃSK
Tańczy Ziuta Buczyńsk
Fot. Van Dyck — Warszaw

kalendarzyk AS'a

1937 listopad

Co ludzi interesuje w tym miesiącu?

1. PIM przepowiedział lekką zimę. Niewątpliwie będziemy mieli syberyjskie mrozy. Wszyscy interesują się barometrem. Podobno nawet w gmachu sejmowym zawieszono barometr. Wskazuje on stale „odmianę". Chwilami nawet pochyla się aż ku „burzy". W biurach pomocy zimowej barometry przez cały listopad pokazują jeszcze „piękną pogodę".

2. W listopadzie spada na kraj grad odznaczeń. W tym to okresie PAL — obok PIMA i Ubezpieczalni najpopularniejsza instytucja w Polsce — rozdaje wawrzyny. Wawrzyny dostają jedni za to, że piszą, a inni za to, czego jeszcze nie napisali. Jedni otrzymują je za krasomówstwo, a inni znów za to, że o pewnych sprawach milczą. W dawniejszych latach można było uniknąć odznaczenia wawrzynem... uciekając zagranicę. W bieżącym jednak roku — wawrzyny będzie się również wywozić zagranicę. Ma to poprawić nasz bilans płatniczy. Niewiadomo, czy poprawi nasz bilans kulturalny zagranicą. PAL, zachęcony powodzeniem „polskiej szynki" na rynkach amerykańskich, zamierza rzucić na rynki północno-amerykańskie większą ilość wawrzynów. Rozpoczniemy zakrojoną na szeroką skalę propagandę w myśl hasła: „W każdym domu wawrzyn literacki na niedzielę".

3. Zbliża się zima. Rozpoczynamy suchą zaprawę narciarską. Wielu sportowców nie robi tego „na sucho". Przygotowujemy się do smarowania nart — w myśl zasady, że u nas w kraju „kto smaruje ten jedzie". Ponieważ zaś jesteśmy krajem „zabitym deskami", przeto narciarstwo jest u nas sportem bardzo popularnym.

4. Kończy się sezon rozgrywek ligowych. Oczy całej Polski skierowane są na Chorzów, gdzie zadecyduje się los Cracovii. Czy klub ten zdobędzie mistrzostwo Ligi — czy też posiadać będzie tylko tytuł wicemistrza? Wobec tej kwestji wszystkie inne problemy listopadowe usuwają się w cień. Naszem zdaniem wszystkie mecze ligowe powinny odbywać się w zimie, kiedy niema burz i pioruny nie uderzają w trybuny.

5. Sezon teatralny w pełni. Przed sekretarjatami teatrów tworzą się długie kolejki. To są ci, którzy czekają na kartki do teatrów. Jedynie w tej dziedzinie zachował się dawny wojenny zwyczaj — wydawanie kartek. Teatry wystawiają wielkie sztuki, o których się dużo pisze i sztuki interesujące, na które się chodzi.

* * *

Przysłowie mówi: „Listopad dla Polaków niebezpieczna pora". Słusznie na ten miesiąc przypada wiele wydatków zimowych. Trzeba podpisywać weksle, co jest rzeczą wielce niebezpieczną dla tych, co je nam żyrują, względnie tych, co je przyjmują.

Adkalendasgraecas

CHARLIE

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 45 **Niedziela, 7 listopada 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 45-GO:

Fot. inż. Władysław Bugayski — Kraków.

...I nastała prawdziwa polska złota jesień. Po bezchmurnem niebie, co w południe przybiera barwy turkusu, płynie słońce, a jego promienie — jakże gorące — budzą do życia rośliny i zwierzęta, które ułożyły się już do snu zimowego... Tylko nocą nawiedza ziemię siwy mróz i potem rankiem srebrzy się szronem na gałązkach drzew i krzewów, z których spadły ostatnie pożółkłe liście.
Wtedy mały pastuszek,pędząc na pole swe stadko, otula się grubym kożuchem i stojąc potem nad wodą śledzi w jej lustrze wschód słońca, które da mu złudzenie minionego lata...

ŻYCIE POWSTAJE POD WODĄ...

Według greckiej mitologji, synem Posejdona i Amfitryty był Tryton. Górną część ciała posiadał on ludzką, a od pasa ciało jego pokryte było łuską potwora morskiego. Dmąc w morską muszlę, wydobywał z niej potężne i harmonijne dźwięki, któremi uspokajał fale. Orszak przyboczny Trytona stanowiły stworzenia morskie i nereidy, igrające wśród fal z centaurami, hippokampami i innymi mieszkańcami głębin.

Z biegiem lat Tryton podzielił los innych bogów greckich, których coraz mniej szanowano i powoli zapominano. Imię jednak jego przetrwało po dzień dzisiejszy na oznaczanie mieszkańców wód, bliskich krewnych pospolitych i wszystkim dobrze znanych żab.

Trytony czyli traszki i salamandry, tworzące grupę płazów ogoniastych, przypominają przez posiadanie ogona, zwykle o długości reszty ciała, duże kijanki. Są one zwierzętami ziemnowodnemi t. j. spędzającemi część życia na lądzie, część zaś w wodzie. Przeważnie są to zwierzęta nieduże, o długości ciała 15—20 centymetrów.

Traszki, dawniej zwłaszcza nazywane trytonami, posiadają ciało, dobrze przystosowane do przebywania w wodzie. Mają one ogon spłaszczony i zaopatrzony pletwą na górnej i spodniej stronie. Niezgrabnie i powoli poruszają się na lądzie, w wodzie natomiast, gdzie spędzają większą część swego życia, okazują się szybkimi i zręcznymi pływakami. Od czasu do czasu tylko muszą wychylać się na powierzchnię wody dla zaczerpnięcia powietrza, bez którego przez dłuższy czas nie potrafią się obyć.



Para traszek unosząca się na wodzie: na pierwszym planie widzimy samca, odznaczającego się wysokim grzebieniem na grzbiecie i ogonie, co stanowi główną jego ozdobę.

Na lewo: Samiczka poszukuje liści celem złożenia na nich jajeczek.

Największą z gatunków żyjących u nas, jest traszka większa czyli czarna (Molge cristata) zwana również i ziarnistą od szorstkiej i chropowatej skóry. Traszka ta, wielkości do 15 centymetów, posiada barwę czarną lub brunatno-oliwkową, brzuch zaś żółtawy z ciemnemi centkami. Dosyć pospolita w stawach i kałużach wodnych, unika natomiast strumieni i rzek bystro płynących.

Szczególnie ruchliwe są traszki w okresie pory godowej, kiedy barwy ich stają się żywsze, a samiec zdobi się we wspaniały zębaty grzebień, biegnący wzdłuż grzbietu, którym jak gdyby chciał się przypodobać swej wybranej.

W słoneczny dzień wiosenny wesoło pląsają samce i samiczki, tworząc zakochane pary. Oblubieńcy zbliżają się do siebie. Samiec porusza ogonem to w tę to w drugą stronę, uderzając nim lekko również o bok samiczki, zwrócony ku niemu. Wachlowanie ogonem staje się coraz namiętniejsze, samiec uderza nim coraz szybciej, wreszcie opuszcza się w dół, aby za chwilę znowu podpłynąć ku górze i zbliżyć się do oblubienicy. Samiczka początkowo zdaje się nie zwracać uwagi na te zaloty, wkońcu jednak podąża za samcem. O ile w sąsiedztwie zjawi się inny samczyk, pierwszy stara się go odpędzić gwałtownemi ruchami.

Samiczka poszukuje zacisznego miejsca i odpowiednich roślin, na których mogłaby bezpiecznie umieścić jajeczka. Pomagając sobie tylnemi łapkami, zręcznie zwija liść lub jego kawałek i umieszcza wewnątrz zagłębienia białawo-żółtawe jajeczko, które dzięki lepkiej powłoce, trzyma się doskonale w malutkim schowku. Składając w ten sposób kolejno wiele jajeczek, spełnia swe zadanie. Odpływa następnie, nie troszcząc się więcej o złożone jajeczka.

Tymczasem maleńki zarodek, ukryty w jajeczku, pulsuje życiem. Nic nie znacząca napozór ciemna kuleczka, zmienia swój kształt i zaczyna się rozwijać. Po dwóch tygodniach z osłonki jajeczka wypływa maleńka kijanka o długości ok. 8 milimetrów.

Beznogie i niezgrabne maleństwa nitkowatemi wyrostkami, znajdującemi się w przedniej części ciała, przyczepiają się do roślin, rzadko tylko usiłując pływać. W miarę wzrostu stają się coraz to silniejsze. Apetyt ich zwiększa się, zjadają różne drobne stworzonka, jak oczliki, dafnie, larwy wodnych owadów. Wkrótce ukazują się kończyny przednie, zanikają natomiast nitkowate wyrostki, za jakiś czas wyrastają również i nogi tylne. Skrzela powoli zanikają, a młodziutkie trytony muszą już podpływać pod powierzchnię wody lub wychodzić na przybrzeżne kamienie, aby odetchnąć powietrzem atmosferycznem. Oddychają już bowiem płucami.

Traszki dorosłe żywią się owadami, dżdżownicami, ślimakami i innemi wodnemi zwierzątkami, niekiedy jednak pożerają się wzajemnie. Same stają się często łupem zaskrońców i ryb.

W jesieni opuszczają one wodę i wyszukują sobie kryjówki na brzegach między korzeniami drzew lub pod kamieniami, dla przebycia niekorzystnej dla nich pory zimowej. Niekiedy zbierają się po kilka i razem zasypiają długotrwałym snem zimowym.

Wczas na wiosnę budzą się i wyruszają na poszukiwanie wody, w której znowu przebywać będą aż do pory jesiennej. Gdy nieraz zdarzy się w czasie upalnego lata, że kałuża lub stawek, który wybrały sobie za miejsce swego pobytu, wyschnie — udają się na wędrówki dla znalezienia nowego zbiornika wodnego, stanowiącego dla nich normalne warunki życia.

Traszki posiadają nadzwyczajną zdolność odzyskiwania utraconych części ciała, które im odrastają. Nietylko jak u jaszczurki, odrasta im odpadły czy odgryziony ogon, w podobny sposób odzyskują utracone odnóża a nawet oczy. Dzięki tej nadzwyczajnej własności odrastania części ciała u traszek, używane są one do naukowych badań i doświadczeń nad t. zw. regeneracją i transplantacją. Części ciała odcina się im i przeszczepia na inne miejsca, gdzie doskonale się przyjmują. Często można widzieć w pracowniach biologicznych traszki, posiadające n. p. przeszczepioną nogę na grzbiecie czy na głowie. Traszki czują się jednak doskonale i „ozdoba“ w postaci takiej przeszczepionej nogi nie wydaje się im w niczem przeszkadzać.

W liściach roślin podwodnych samiczka składa swoje jajeczka.



Na prawo: Jajeczko traszek złożone na liściu (w powiększeniu).



WSZYSTKIE ZDJĘCIA ADA — PRESSE SERVICE — AMSTERDAM

Poniżej: Charakterystyczna scena w czasie okresu godowego traszek.



Traszki są zwierzętami zupełnie niewinnemi i nieszkodliwemi; raczej są nawet pożyteczne przez tępienie larw komarów. Dawniej były one jednak prześladowane i tępione, wierzono bowiem, że posiadają one jadowite ukąszenia.

Prócz traszki czarnej, która poza Polską, występuje niemal w całej Europie od południowej Szwecji aż do Włoch północnych, żyje u nas mniejsza traszka paskowana o długości 8 centymetrów. W obszarach górzystych żyją ponadto traszka górska i traszka karpacka.

Wszystkie traszki dają się łatwo hodować w akwarjach. Należy im tylko wybudować coś w rodzaju wysepki, na którą mogłyby wychodzić z wody.

Krewniakami traszek są jaszczury czyli salamandry, z których najpospolitszą jest salamadra plamista. Nazwę swą zawdzięcza żółtym plamom, występującym na ciemnem tle.

Płaz ten znany był już w starożytności i od najdawniejszych czasów krążyły o nim najfantastyczniejsze opowieści, podawane nieraz i przez poważnych autorów. Według Pliniusza, salamandra ma być zimna jak lód, a dotknięciem swego ciała może ugasić ogień. Szczególnie trujące własności posiada śluz, wydzielający się ze skóry. Skoro salamandra wyjdzie na drzewo, ma zatruć wszystkie owoce: ktoby je spożył, zginie w strasznych boleściach. Również i woda w studni, do której dostała się salamandra, staje się groźną trucizną

W średniowieczu wiele salamander zginęło prawdziwie męczeń

Dokończenie na str. 30-ej



AKT W MARMURZE I NA PŁÓTNIE

Figurka z kości mamuta, t. zw.: Wenus z Willendorfu.



Réne Max — „Kobiety na balkonie".



A. Renoir — „Akt leżący".



Rubens — „Meleager i Atalanta" (fragment).

Wydaje się prawie pewnem, co zresztą potwierdzą wszyscy bywalcy wystaw i salonów sztuki, że akt i wizerunek ciała ludzkiego jest coraz rzadszym zjawiskiem. Dominuje pejsaż, martwa natura, wreszcie portret i kompozycja.

Czy jest to wynikiem mody, która podłużyła suknie i przyodziała dziewczęta z music-hall'ów w woale? Czy nudyści spowodowali przesyt nagości u malarzy? Czy może temat ten przestał być modnym i interesującym malarza i publiczność? Niewiadomo. Dość, że współczesne salony zapełnione są przeważnie obrazami „ubranemi".

Nagie ciało — wyobrażone na płótnie rysunkiem i kolorem, było zawsze pewnego rodzaju sensacją. Ramy zamykające kompozycję, w której biorą udział nieodziani ludzie — stały się otwartemi „przez zapomnienie" drzwiami, przez które każdy mógł i może rzucić okiem na niedyskretną scenę, odsłaniającą piękno i wdzięk kształtów — na codzień ukrytych przed widzem. Być może, że właśnie ten rodzaj nieganionych i dozwolonych spojrzeń niedyskretnych decydował nieraz o powodzeniu wielu wystaw i obrazów. — Przecież nagie kobiety, które zasnęły rozleniwione i rozmarzone na obrazach, były pewnego rodzaju małym skandalem, za którym tak tęsknią języki publiczności!

Przodkowie współczesnych różnie odnosili się do nagości i jego kultu w sztuce. Akt zaczął być modnym dopiero pod koniec ostatniego wieku. Po swoich triumfach w starożytności, został on wstydliwie zapomniany w wiekach średnich. Wprawdzie Odrodzenie we Włoszech przywróciło mu honory, lecz uczyniło to nader dyskretnie.

Szkoła flamandzka nie pamiętała o akcie i nie poznała się na nim, pomimo swej sławy. W wieku XVIII akt w sztuce reprezentowało kilku zaledwie mistrzów. Podczas zwycięstw neoklasycyzmu, romantyzmu czy naturalizmu nie było nic bardziej ważnego dla artysty, jak odtworzenie kolorem na płótnie, czy formą w marmurze piękna i splendoru ciała ludzkiego.

Ciało kobiety stało się bodaj najbardziej pasjonującym artystę problemem. Jego linje, miękkość, barwa są argumentami wystarczającemi dla wytłumaczenia tego faktu.

Ciekawym przyczynkiem do historji aktu w sztuce jest przegląd „muzeum kobiety". Przegląd taki da obraz ideału plastycznego kobiety w dawnych wiekach. Ideał ten zmieniał się często i przybierał w zależności od epoki i krystalizowanych przez nią upodobań — coraz to inne kształty.



Sandro Botticelli (1444—1510) — „Narodziny Wenery".

Poszukiwania pozwalają twierdzić, że zarówno w Europie jak i w Chaldei, narody przedhistoryczne uwielbiały kobietę o kształtach wydatnych, jak na to wskazuje Wenus z Willendorfu i inne podobne znaleziska.

U Egipcjan i narodów afrykańskich, za dobrze zbudowanych uważano ludzi o ciałach płaskich, strzelistych, mocno związanych i o długich nogach. Późniejsza Afrodyta grecka w budowie przypomina nowoczesną europejkę, silną i harmonijnie rozwiniętą, dzięki pracy w polu i gimnastyce. W wiekach średnich, Ewa, wyobrażana przez współczesnych, była kobietą o kostycznej i surowej sylwetce — zasłaniająca rękami swe piersi i o wydatnym brzuchu, który miał mówić o roli kobiety w społeczeństwie i apoteozującym macierzyństwo. Rubens, mieszkający wśród piwoszów i pożeraczy wędlin w Brukseli i Antwerpji, stworzył ideał kobiety borykającej się z zalewającemi ją falami tłuszczu, zaś Bouché i Fragonard ofiarowali libertynom swoich czasów ciała miękkie i zaokrąglone, prawie nieprzyzwoite w swej przytulności. Wreszcie wiek XIX to okres szybkiej ewolucji smaku, poglądów na piękno ciała ludzkiego i kostjumu.

Kobieta w sztuce odgrywała zawsze dużą rolę. Liczne jej wizerunki wypełniały galerje prywatne i zbiory publiczne. Po apoteozie ciała ludzkiego przez malarstwo w wieku XIX przyszły czasy, które zaniedbały prawie zupełnie ten temat.

W naturalnem następstwie rzeczy minionych, na współczesnych wystawach, sztuk pięknych powinien się znaleźć wizerunek kobiety dzisiejszej, kobiety, któraby odpowiadała kulturze XX-go wieku i jej upodobaniom. Wynalezienie jednak takiego ideału, wskazanie go, zdefinjowanie w sztuce współczesnej natrafia na poważne trudności. Pochodzi to przedewszystkiem stąd, że sztuka przeżywa nienotowany w swych dziejach wstrząs, zaś okres rewolucji i zamieszek nigdy nie pozwala na postawienie jasnych prognostyków na przyszłość. W takich warunkach trudno zorjentować się nawet w teraźniejszości i zdecydować się na jasną koncepcję rzeczywistości.

Przeróżne prądy w sztuce, mające na celu przeważnie formalne zagadnienia, odsuwają od siebie życie otacza-

Poniżej na prawo: „Dziewczynka z skakanką" — rzeźba Alfonsa Karnego.



Poniżej: Padlo Picasso — „Akt" (1914).



jące je, odbiegają od wzniosłej idei charakteryzowania wieku. Z drugiej strony epoka nie jest na tyle silną i skoordynowaną, aby wyłonić sama z siebie kierunek jasny i zdecydowany.

Trudno sobie wyobrazić, aby w okresie wielkiej, wyzwolonej miłości jasnej w swej koncepcji i rzeczowej, ideałem człowieka XX-go wieku, człowieka pojmującego piękno fizyczne ciała i dążącego do osiągnięcia go — kobieta mogła się składać z zdumiewających kul i geometrycznych brył, jak to ma miejsce na niektórych kompozycjach nowoczesnych. Pewne koncepcje malarskie, być może wzniosłe w swych celach i osiągnięciach formalnych, są wprost komiczne, jeżeli ograniczy się je do wartości dokumentów chwili.

A przecież obraz zawsze powinien być takim właśnie dokumentem. Bowiem od wieków poza pierwiastkami piękna i sztuki czystej, które reprezentował, był on odzwierciedleniem uczuć, tęsknot, upodobań, nastrojów i przeżyć człowieka czy społeczeństwa danego okresu historycznego. Tak było począwszy od malowideł ściennych z grot hiszpańskich Alpera, czy afrykańskich z Kap, Transwalu, czy Natalu — aż do końca XIX wieku.

Dziś, gdy cały świat uznał piękno form ciała ludzkiego i wzorem starożytnych dąży do wyidealizowania go, do osiągnięcia szczytu doskonałości, kiedy sport stanął na piedestale z okresu klasycyzmu, a suknia nie więzi już ciała — sztuka odsunęła się od aktu, wyeliminowała z pogardą sport, jako temat dzieła i tworzy... martwe natury, kompozycje historyczne i t. d.

Na wytłumaczenie powyższego zjawiska możnaby wynaleźć jedno tylko usprawiedliwienie: nowe czasy przyszły zbyt prędko. Nie było przejścia, „nowe" przyszło bez stopniowań, bez gradacyj. Naraz i brutalnie wraz z pierwszemi latami XX-go wieku wtargnęły nowe czasy w sielankę ubiegłego stulecia. Dzięki temu nie wszyscy może zdołali pojąć wielkość i piękno tego co przyszło.

Niezmiernie mały odsetek dzieł przedstawiających akt, podzielony jest na dziesiątki i setki kierunków. Każdy z tych kierunków używał i bodaj używa jeszcze ciała ludzkiego, jako materjału do przeprowadzenia swej tezy, jako argumentu, a nie jako tematu.

Stąd obawa, że gdyby, sztuka po wstrząsach, które przeżywa i zwycięstwach, które trzeba zapisać na dobro walczącego pokolenia, stanęła w obecnem stadjum swego rozwoju, a raczej dobroczynnego i koniecznego fermentu, to przyszłe pokolenia miałyby sto pociech oglądając wizerunek kobiety XX-go wieku, kobiety powojennej, wyciosanej w marmurze czy wyobrażonej na płótnie przez współczesnych mistrzów.

O ile każdy miniony okres wyrażał jasno swe upodobania i gusty, o tyle podczas wędrówek po współczesnych salonach sztuki nie da się wywnioskować jaki typ kobiety odpowiada człowiekowi XX-go wieku. Bowiem wyraz współczesnej kobiety nie jest określony jasno i gubi się w tysiącznych interpretacjach, w których o formie ciała decydują cele formalne danego malarza, a nie typ spotykanej popularnie kobiety.

Nowoczesna kobieta została uwieczniona w literaturze, ale nie namalowana. Renoir nazwany został twórcą kobiety-paryżanki w malarstwie. Potrafił on uchwycić w swych płótnach, określić przeciętną kobietę Francji i namalować ją taką, jaką była w rzeczywistości. Renoir jednak był ostatnim wielkim malarzem, który zanotował typ urody kobiecej swoich czasów.

Dopóki sztuka nie pojmie potęgi życia współczesnego, jego odmienności i piękna — dopóty nie zjawi się na wystawach dzieł sztuki nowoczesna kobieta. Należy mieć nadzieję, że nastąpi to niedługo i że współczesne klasyczne kształty mężczyzny i kobiety uczyni nowa sztuka nieśmiertelnemi, jak to miało miejsce przed wiekami w słonecznej Grecji.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Kilka dni temu ukazały się dodatki do katalogów obejmujące znaczki, wydane w październiku. Nie bez pewnej satysfakcji możemy zauważyć, że „AS" reprodukował je o wiele wcześniej. Naturalnie, że później docierają do nas marki z Portugalji czy Irlandji, niemniej jednak w obecnym numerze zamieszczamy już szereg takich sztuk, których nie widzimy nawet w najnowszych „Nachtragu" Michla.

Chronologicznie pierwszeństwo mają znaczki z obu krańców Europy, t. j. z Portugalji i Rosji Sowieckiej. Oba są do pewnego stopnia potworne: pierwszy z nich ze względu na rysunek przedstawiający raczej jakiegoś żebraka aniżeli pasterza. Wydano go na cześć (!) portugalskiego dramaturga Gil Vicente, żyjącego przy końcu XV wieku, który lubował się w sztukach z życia ludu.



W górnym rzędzie: Znaczek portugalski, francuski i sowiecki. W drugim rzędzie serja znaczków austrjackich, wydanych na cele pomocy zimowej.

Sowiety „uwieczniły" natomiast na znaczkach jednego z najokrutniejszych wodzów rewolucji — Dzierżyńskiego. Serja obejmuje cztery wartości i jak to zwykle bywa dostarczane są one stemplowane i to z oryginalną gumą. Do korespondencji normalnej zapewne nie bywają używane. Zdaje się, że moda na bloki przyniosła tylko jedną korzyść, a mianowicie wyparła zupełnie z handlu znaczki sowieckie jeszcze bardziej pocztowo zbędne!

Jeśli ktoś widzi jakikolwiek nowy znaczek austrjacki woła odrazu: „jaki śliczny" — tym razem jednak nie możemy wyrazić zachwytu, mając przed sobą serję „na pomoc zimową". Wykonanie heliograwurą jest naturalnie pierwszorzędne, ale rysunek scen „charytatywnych" nie nadzwyczajny.

Zato „najnowsze nowości" pochodzące z Francji i Czechosłowacji są rzeczywiście wspaniałe. Większy format pozwolił panu Delzers na plastyczne przedstawienie górskiego krajobrazu z prowincji Sabaudji, a w szczególności przełęczy i góry l'Iseran. Serję krajobrazową uzupełniono więc jeszcze jednym (zielonym) egzemplarzem, a w regularnej (symbol pokoju) zmieniono kolor wartości za 65 c. na c. niebieski.

Blok musi naturalnie uzupełniać listę nowości i z zadowoleniem widzimy, że po raz pierwszy na czeskim znaczku umieszczono tylko napisy w słowackim języku. Jeszcze sympatyczniejszem jest to, że oferowano go tylko po 2 do 6 złotych, a więc znacznie taniej, aniżeli jakikolwiek inny. Odznacza się on wreszcie tem co powinno mieć miejsce przy każdym bloku: a więc łączy on znaczki zupełnie nowe, w różnych kolorach, (niebieski i karminowo-brunatny) na otoku umieszczone są napisy uzasadniające wydanie, a ponadto widzimy jeszcze herb republiki i miasta gdzie go emitowano. O piękności znaczków nie potrzeba pisać: wystarczy je zobaczyć.

Dla zbieraczy nie nabywających dodatków do albumów podajemy formaty: Portugalja: 25×42 mm, Rosja 26×38 mm, Francja 41×27 mm, Austrja 27×31 mm, Czechy 15×31 mm.

W. Horain.



Bloczek znaczków czechosłowackich z krajobrazami z Słowacji.

Uznano, że dla
PIĘCIORACZKÓW KANADYJSKICH
najodpowiedniejsze będzie mydło na olejku oliwkowym

„Po przyjściu na świat i przez pewien czas potem, Pięcioraczki kanadyjskie kąpane były w olejku oliwkowym... Z chwilą, gdy można je było kąpać w wodzie z mydłem, wybraliśmy wyłącznie mydło Palmolive do codziennej kąpieli tych sławnych w całym świecie dzieci."

Dr. Allan Roy Dafoe

Naturalnie wybór padł na Palmolive.

Żadnych tłuszczów zwierzęcych — żadnych sztucznych barwników! Jedynie cenne oleje roślinne są używane do mydła Palmolive. Uzyskasz piękną cerę stosując oryginalne mydło Palmolive do twarzy i kąpieli. Nie daj się przekonać do kupna tańszych mydeł niepewnego gatunku.

SŁYNNE Pięcioraczki kanadyjskie śmieją się, pluskają, skaczą i śpiewają w kąpieli, jak miliony innych dzieci. I jeszcze coś wspólnego... są one myte codziennie mydłem Palmolive, wybranym przez matki całego świata dla jego łagodnego działania na delikatną skórę dzieci!

"Jaki naturalny wybór" — powiedzą wszystkie kobiety. Albowiem wiedzą one, jak łagodnie, a przytem dokładnie myje mydło Palmolive... jak delikatna i piękna jest cera przez długie lata przy używaniu tego mydła.

Powinna Pani dbać o swą cerę — jak również o cerę swych dzieci — używając znakomitego mydła Palmolive, tak jak Pięcioraczki, dla których wybiera się wszystko w najlepszym gatunku, bez względu na cenę.

Przeczytajcie oświadczenie Dr. Dafoe, który utrzymał Pięcioraczki przy życiu i wychował je na piękne dzieci. Stosujcie się zatem do jego rady.



Dla utrzymania pięknej cery używajcie tego idealnego mydła wybranego dla Pięcioraczków.

CENA ŻYCIA

HANNA KŁOSIŃSKA

NOWELA

Stefan Wisłocki miał dwadzieścia lat, kiedy zmarł tragiczną śmiercią jego ojciec. — W życie Stefana wtargnął cały tłum detektywów i dziennikarzy. Przez tydzień wypytywali Stefana o stosunki w świecie wielkiej finansjery, do której należał zmarły, o markę samochodu, którym jeździł, o ostatnie notowania giełdowe, zamiary ministra przemysłu i handlu, o toalety pań na ostatnim raucie, o kolor oczu pani ambasadorowej, którą zmarły adorował, wreszcie o deseń krawatów, jakie nosił i adres krawca, u którego się ubierał. Stefan żył dotąd w cieniu wielkości swego ojca, ledwie tolerowany w domu, ledwie zauważony w towarzystwie. Nieoczekiwanie stał się bohaterem chwili i ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Nazwisko jego i fotografje pojawiły się we wszystkich dziennikach przez okres tygodnia. Stał się popularny, jak gwiazdor filmowy. Pycha i radość spowodu tej „sławy", uspokoiły zupełnie ból po stracie ojca. Działały niezawodnie, jak brom. Jak we śnie przeżył pogrzeb i otwarcie testamentu u rejenta, mocą którego olbrzymi majątek, jaki pozostawił zmarły, przypadł w różnych częściach Stefanowi i żonie ojca.

Właśnie u rejenta zauważył Stefan, że macosze było ślicznie w żałobie. Czarny kolor podnosił blask szafirowych oczu i jasnych, prawie srebrnych, włosów. Przyglądał się jej o minutę za długo, by ta obserwacja mogła być dyskretną. Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Ten uśmiech był tak nikły i żałosny, że obudził w Stefanie wszystkie rycerskie uczucia. Zdał sobie nagle sprawę, że oboje zostali sami wobec życia i nie mieli na świecie nikogo prócz siebie.

Za życia ojca byli również sami, jego śmierć, jakkolwiek dotyczyła ich obojga, nie zmieniła nic między nimi. Ojciec bywał w domu rzadkim gościem. Stefan i macocha dotrzymywali sobie milczącego towarzystwa przy stole. Wieczorami siadywali w bibljotece i czytywali do późnej nocy. Nieraz miał zamiar zapytać jej, czy jej nie ciąży życie, zamknięte w czterech ścianach, pozbawione czarów i przygód, do których młodość ma pełne prawo. Nie pytał jednak.

Była zawsze pogodna, zdawała się szczęśliwa. Nie miała przyjaciół, nikogo nie przyjmowała u siebie. Sama nie wychodziła z domu nawet do teatru. Kilka razy do roku towarzyszyła ojcu na proszone przyjęcie, podyktowane jakiemiś, bliżej nieznanemi względami, wyższej natury, i wtedy zamieniała swoją skromną, prawie pensjonarską sukienkę z białym kołnierzykiem, na toaletę ze srebrnej lamy, albo błękitnego organdi. Jej piękność przyprawiała Stefana o udrękę. Każdy jej ruch powodował napływ serdecznej i bolesnej tkliwości, jaką zawsze odczuwają mężczyźni wobec uroczej, a nieświadomej swych powabów kobiety. Ewa była prosta, słodka, cicha, nie posługiwała się zabójczym czarem, nie władała żadną bronią z garnituru srebrnej kobiecej magji.

Czy cierpiała po śmierci ojca? Stefan nie wiedział tego. Swoim zwyczajem usuwała się w cień, schodząc mu z oczu przez cały dzień. Spotykał ją dopiero wieczorem w bibljotece. Stefan czytywał poezje, ona książki naukowe. Czytała bez wyboru i rozkładu dzieła z zakresu filozofji, sztuki, literatury, przyrody. Była nienasycona, chciwa nauki, której jej i jej kobiecym przeznaczeniom nic pomóc nie mogła. Wielu rzeczy nie rozumiała, więc z pokorą pytała Stefana o ich znaczenie, a on w miarę możności tłumaczył jej to, co wiedział. Na dobranoc czytywał jej poezje „srebrne i czarne", zawsze zalotne, niepozbawione wdzięku, mówiące dyskretnie o miłości, takiej, jakiej zapewne, Ewa nie zaznała.

Piotr Wisłocki, ojciec Stefana, miał za sobą burzliwe życie, skończone dość patetycznie strzałem rewolwerowym. Policja uważała to za samobójstwo. Stefan natomiast wiedział, że ten rodzaj śmierci nie zgadzał się z silną i wytrzymałą naturą ojca. Piotr Wisłocki wyrósł z dna nędzy i zdobył majątek wszystkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami. Stał na czele wielkiego konsorcjum przemysłowego i w chwili śmierci był u szczytu powodzenia osobistego i handlowego. Kochał życie i brał z niego wszystko, co tylko dać mogło: zbytek, kobiety, książki, podróże. Był w pełni sił fizycznych i duchowych. Marzył o wielkich rzeczach, a nie należał do tych, którzy cofają się przed wykonaniem planu.

Więc kobieta?

Najpewniej. Miał ich wiele i wszystkie bez skrupułu porzucał.

Po raz pierwszy Stefan pomyślał: czy macocha wiedziała o tem?

Żyła cicho i pokornie na marginesie ich życia, była jednak uśmiechem, czarem, duszą ich domu. Teraz jeśli zechce, może odejść własną drogą. Nikt nie ma prawa zarzymywać jej. Może się zakocha? Może zacznie wreszcie żyć? Bawić się, tańczyć, stroić, podróżować, jak wszystkie inne kobiety?

Nieoczekiwanie dla samego siebie zapytał jej: co zrobić zamierza?

Uśmiechnęła się po swojemu, raczej oczyma, niż ustami, trochę zalotnie, a trochę przekornie, takim uśmiechem, jaki zawsze przyprawiał Stefana o bicie serca

— Będę się uczyła życia.

— Z tych książek? Myślisz, że reguły matematyczne, czy związki chemiczne, kryją w sobie tajemnicę życia?

— Tym szeregom cyfr, ludzie także poświęcali życie, nie jest więc wykluczone, że w cyfrach została wyrachowana dokładnie i bez niewiadomych uroda życia.

— I poco ci to, Ewo?

— Chcę znać życie, by wiedzieć, czy on dużo zostawiał za sobą umierając. Jaką cenę miało jego życie? Ile tracił?

— Przypuszczasz, że popełnił samobójstwo?

Zaprzeczyła:

— Nie. On nienawidził śmierci. Był z tych, co wolą życie, nawet w nędzy i upodleniu. Kochał je namiętnie. Miał za sobą gorsze doświadczenia, a zawsze z nich wychodził zwycięsko.

Stefan popatrzył z sympatją na macochę. Lubił w niej wszystko. Jej delikatną, zmizerowaną twarzyczkę, niesforną plątaninę jasnych włosów, nerwowe śliczne ręce, prostotę obejścia, niski, matowy głos, czarną sukienkę. Zauważył ciemne koła pod oczami i nerwowe drżenie ramion, zrobiło mu się jej ogromnie, serdecznie żal. Ile też mogła mieć lat? Nigdy o tem nie myślał. Dwadzieścia cztery najwyżej. A cztery już przeżyła w ich domu. Jakie dla niej były te lata? To, że kochała ojca, nie wypełniło ich, miłość ją raczej odosobniła.

— Wyjadę pewnie niedługo Stefanie, zawsze o tem marzyłam.

Więc miała jakieś marzenia? Ona? I to takie?

Wyobraził ją sobie wobec morza i ziemi, wobec gwiazd i wszystkich żywiołów, rzuconą w szafirową otchłań świata na nikłej łupince z orzecha. Bo jakże inaczej mogłaby podróżować, ta mała, śmieszna, niezaradna Ewa? I znowu wszystkie rycerskie uczucia doszły do głosu w sercu chłopca.

Położył rękę na jej dłoni i zaproponował:

— Życie poznaje się tylko we dwoje, moglibyśmy wyjechać nad morze razem. Nie widziałaś jeszcze morza. Nie znasz zapachu morskiego wiatru i wolności. Zgódź się, Ewo. Jedź ze mną. Powinnaś wypocząć.

Zawsze mówił do niej: pani i nigdy nie używał tej formy. Nie zauważyła tego, uśmiechnęła się tylko, stwierdzając:

— Tak, nie widziałam morza.

W tem powiedzeniu taił się cały bezmiar żarliwej tęsknoty, znanej tylko kobietom.

— I o życiu wiem tylko tyle, ile ono zła zawiera, wiem, czem jest nędza, brud, upadek, głód i chłód, miłość, nienawiść i śmierć, ale nie wiem, czem jest życie dla takich, jak Piotr. Tego nie wiem.

Stefan patrzył na nią przerażony, wstrząśnięty do głębi.

— Ojciec wziął cię stamtąd i zato go kochałaś?

— Tak, Piotr wziął mnie s t a m t ą d.

Odwróciła się do szafy bibljotecznej i wyjmowała z niej książki w oprawie z ciemnej skóry. Były to dzieła ekonomisty angielskiego. Nie rozumiała po angielsku, udawała jednak, że wybiera je z rozmysłem. Nie czytała widocznie tytułów.

Stefan miał zamiar zapytać ją o to życie, którego nie znał, zapytał jednak miękko:

— Pojedziemy?

— Chcesz?

Uśmiechnęła się kącikami ust, pogardliwie.

— Nauczę cię radości, szczęścia, urody życia — dowodził chłopiec z całym entuzjazmem swoich lat dwudziestu — będziesz tańczyła, śmiała się, bałamuciła mężczyzn. Kupisz sobie suknie, klejnoty. Zabiorę cię w czarodziejską podróż, złożę ci u nóg cały świat. Będę się tobą opiekował, jak brat, jak najlepszy brat. Chcesz? Ewo?

— Dlaczego to mówisz?

— Mam wrażenie, że ojciec zanadto cię skrzywdził, zostawiając samą. Nie chciałbym, byś tak odeszła z naszego domu, niczem nie obdarowana, bo ja wiem, że pieniądze to nie jest twoja cena.

— Tak, to nie jest, moja cena — szepnęła w zamyśleniu. Popatrzyła na Stefana czystemi oczami szczęśliwego dziecka. Doznał ulgi w sercu. Mimo tej wiedzy złego, o której mówiła, była dobra, aż do dna duszy.

— Pojedziesz ze mną Ewo?

— Nie, sama wyjadę.

— Dlaczego?

— Mam swoje kobiece powody.

— Pamięć o nim?

— Możliwe.

— Ja go również nie zapomnę. Chcę pomścić jego śmierć. Uwielbiałem ojca, mimo, że porzucił moją matkę i że umarła z głodu. Po jej śmierci zabrał mnie, jak z łaski, traktował, jak nielubianego psa. Nigdy ze mną nie rozmawiał. Nie znałem jego przyjaźni, ani jego pieszczoty. Ale imponował mi swoją siłą, swoją brutalną wielkością. Muszę odnaleźć kobietę, która go zabiła.

— Więc myślisz, że to kobieta? — Głos Ewy drżał lekko. — Miał przecież wrogów wśród ludzi, których zrujnował materjalnie,

względnie skompromitował politycznie.

— To była kobieta.

— Jakie masz na to dowody?

— Jeden tylko — zapach jaśminu. Byłem pierwszym z tych, którzy weszli do gabinetu ojca po dokonaniu zabójstwa. W gabinecie było ciemno. Słyszałem wprawdzie przedtem odgłos strzału, nie wiedziałem jednak, co się stało. Gabinet był pełny jaśminu. Ojciec nie znosił kwiatów. Zapach był zresztą tak indywidualnie kobiecy i co najważniejsza znajomy. Pomyślałem, że była u ojca „jaśminowa dama".

— Czy przychodziła często? — usta Ewy drżały.

— Owszem przychodziła. Uspokój się, Ewo. Wiesz przecie, że w życiu ojca kobiety nic nie znaczyły. Tej pani nigdy nie widziałem. Przychodziła dyskretnie, pewnie bocznem wejściem. Po niej zostawał tylko zapach jaśminu. Przyznaję, że i mnie uderzał zlekka do głowy. Nieznajoma intrygowała mnie bardzo. Wyobrażałem ją sobie, jako młodziutką, wiosenną dziewczynę. Ojca nie ośmieliłem się pytać. Starałem się szpiegować, bez rezultatu, była widocznie bardzo przebiegła i umiała się ukrywać. — Miała w tem swój cel, jak się okazało.

— Więc myślisz, że ona go zabiła z miłości? — Ewa roześmiała się.

— Tak, myślę Ewo. Czyżby ojca nie można było aż tak kochać?

— Takich, jak twój ojciec, kobiety zanadto kochały, żeby... Wiesz, przecież, że i twoja matka nie mogła...

Zaniosła się płaczem. Żałował, że wzruszył ją niepotrzebnie tą rozmowa. Pocieszał ją ciepłemi słowami.

Mijały tygodnie.

Stefan szukał po całej Warszawie „jaśminowej damy". W tym celu poznał prawie wszystkie aktorki Warszawy. Pachniały wszystkiemi kwiatami wiosny, z wyjątkiem jaśminu. Tropił po ulicach zapach kobiecych sukien. W perfumerjach powiedziano mu, że zapach ten wyszedł z mody, ponieważ przed kilku miesiącami Atkinson zarzucił rynek perfumami jaśminowemi i spospolitował je zanadto. Nie używała ich żadna elegancka kobieta. Żadna wytworna pani, podkreślił przesadnie perfumiarz, obrzucając przytem Stefana lekceważącem spojrzeniem. Sefan wzruszył ramionami; gdyby to o niego chodziło, zapewne, że wolałby damę od panny sklepowej, ale ojciec poszukiwał czasem tańszych i mniej ryzykownych przygód. Stefan lubiał kobiety w guście Ewy, pełne gracji, lękliwego wdzięku i subtelnej wytworności. Ewa była dla Stefana pierwszem objawieniem piękna. Nie kochał się jednak w macosze, poprostu bardzo ją lubił, w ten szczególny, miłosny sposób, w jaki mężczyźni lubią kobietę na widok której pomyśleli, chciałbym się kiedyś ożenić z podobną. Tak, czasem lubi się matkę, siostrę, albo miłą szkolną koleżankę.

Ewa interesowała się bardzo „jaśminowem śledztwem", jak nazywała poszukiwania Stefana i współczuła mu, że nie dawały rezultatu. Kiedy jednak Stefan oświadczył jej, że musi zbadać zawartość biurka zmarłego, że odnalezienie wszystkich tajnych skrytek, niedostępnych nawet dla urzędników policyjnych, zajmie mu prawdopodobnie ze dwa tygodnie czasu, a odczytywanie korespondencji drugie tyle, Ewa oświadczyła, że stanowczo lepiej, ze względu na jej wyczerpane nerwy, dać spokój narazie całej tej historji i pojechać nad morze, jeśli, oczywiście Stefan, nie zmienił planu i zechce ją zabrać ze sobą. Wiedział jednak, że chciała zapewnić zmarłemu jego tajemnice, które szanowała, a może uchronić Stefana przed rozczarowaniem? Piotr Wisłocki był dla syna symbolem siły i władzy, chłopiec zachłystywał się z dumy i szczęścia, wspominając czyny ojca, cytował z patosem jego charakterystyczne powiedzenia, zbierał fotografje i wycinki z gazet z opisem ważniejszych chwil w życiu Piotra z taką pasją, z jaką filateliści zbierają marki pocztowe. Dla Ewy, Piotr Wisłocki, był tylko mężczyzną, a tem samem jeśli nawet był ideałem, to mniejszego kalibru, ubranym w filcowe pantofle i zażywającym aspirynę przy cierpieniach reumatycznych. Co właściwie pewnego można było wiedzieć o myślach takiej Ewy, lekkich, błękitnych zawiłych myślach?

W czasie długiej podróży, jaką odbywali razem, Stefan również nie odcyfrował myśli Ewy. Przez trzy lata z dumą pokazywał oczarowanej kobietce — Europę. Wolność, której oboje nie znali, uderzyła im do głowy, jak mocne wino. Przeżywali swą młodość, jak awanturę. Poznali szafirowe wieczory florenckie pod rzeźbionemi arkadami Santa Maria Novella i długie godziny sam na sam z Giottem, spacery na placu della Signoria i minuty zaczarowanego milczenia w ślicznej, gotyckiej Loggi dei Luzi, przeżyli złote zmierzchy w Wenecji, poznali fioletowy mrok Rzymu, Rzymu o którym mówił ich ulubiony poeta, że nie zna miasta niebezpieczniejszego dla zakochanego człowieka. Upił ich „zapach kardynalskich, gdzieś za pałacami skrytych ogrodów, ten zapach mniszy, bukszpanowy i różany, kościelny i miłosny". Na życzenie Ewy przetańczyli miesiąc w Paryżu i miesiąc w Londynie, a potem oddali się duszą i ciałem piękności mórz południowych. Przeżyli szereg lazurowych dni na Haiti i szereg upajających nocy przy blasku przepysznych gwiazd podzwrotnikowych, pod rozwiniętemi na niebie konstelacjami Krzyża Południowego i Gwiazdy Polarnej. U stóp mieli morze opalizujące w blasku księżyca, a na nim rozłożony wachlarz fosforyzujących wieloszczetów i błyszczących much. Istny potop gwiazd.

Właśnie tam, na Haiti, Ewa miewała kaprysy, czarujące i nagłe; tęsknotę za kolorem bzów lub zapachem malin, któryby jej mówił o Ojczyźnie. Stefan chętny i oddany jej fantazjom, nie zawsze je umiał spełniać. Bo skądże do licha, wziąć pod zwrotnikiem polskich malin, jeśli ich zapragnie najpiękniejsza kobieta? Zastępował je piosenką, zwykłą pasterską piosenką o kalinie i Ewa kołysząc się w hamaku zdawała się zasypiać, w miarę, jak melodja stawała się smutniejsza. We śnie była śliczna i Stefan lubiał patrzeć na jej zamknięte powieki, ubrane w bajeczne, dziecinne, długie i miękkie rzęsy, które podczas snu rzucały cień na policzki. Patrząc na nią brała go ochota wziąć ją w ramiona i nieść daleko, dokądkolwiek, byle najdalej od ludzi. Ale intuicja przestrzegała Ewę przed niebezpieczeństwem, prawie zawsze budziła się w chwili, kiedy się już decydował. Zawsze naprzekór. W takich chwilach miewał głupią minę, bo śmiała się z niego głośno i prowokująco.

W portach odbierała listy, przysyłane jej na poste-restante z Zakopanego. Listy adresowała kobieta, podobno jakaś daleka krewna, o której Stefan nigdy przedtem nie słyszał. Ewa musiała ją darzyć wielką sympatją, bo na listy te czekała z tęsknotą i podnieceniem, uśmiechała się do słów, czytając i gładziła kopertę delikatnemi palcami. Zostawił jej jednak bez żalu te kobiece sekrety.

Ewa wypiękniała, nabrała czarów. Chodziła po świecie w fiołkowej woni najwykwintniejszych perfum, tańczyła, ciągnąc za sobą tren z najdroższych koronek. Namówił ją nawet na kupno klejnotów. Wybrała najskromniejsze: naszyjnik ze złotawych pereł i trzy bransolety, rzadkiej piękności, pochodzące z czasów renesansu. Miały dla niej specjalny urok, bo według świadectwa złotnika, nosiła je kiedyś dogaressa Wenecji.

Podróż znalazła swoje nieoczekiwane zakończenie po pewnym liście, który nosił na kopercie naddruk słynnego sanatorjum w Zakopanem. Ewa czytając list zbladła, a kiedy podniosła oczy na Stefana, zauważył, że były pełne łez i rozdzierającego smutku. Na jego pytania nie odpowiadała. Dopiero wieczorem powiedziała mu, że muszą wracać do kraju, natychmiast, tej jeszcze nocy i że decyzji swojej nie zmieni.

Było to w Neapolu. Mieszkali nad samem morzem, nad najpiękniejszą zatoką na świecie. Za Wezuwjuszem wschodził księżyc i rzucał na wodę srebrne strusie pióra.

— Widzisz Ewo, stroi zatokę, jak kochankę, we wszystkie skarby.

— Widzę.

Objął ją lekko ramieniem.

— Ewo, kończą się nasze „Wanderjahre", najpiękniejsze, jakie przeżyłem.

— I moje najpiękniejsze.

— A gdyby Ewo...

Położyła mu dłoń na ustach.

— Dla nas niema żadnego „gdyby" Stefanie.

— Czy jeszcze on nas dzieli? Daruj, ale zapomniałem.

— Ja nie zapomniałam. Pamiętałam przez wszystkie godziny.

— Nawet na Haiti, wśród spadających gwiazd? Ewo?

— Może tam najwięcej.

— Czy ty jeszcze będziesz szukał tej, która go...?

— Muszę ją znaleźć, Ewo, chyba, że ty, nie chciałabyś.

— Teraz możesz jej już szukać. Pomogę ci.

Dom na Nowym Świecie w Warszawie wydał im się zimny i smutny po powrocie. Na każdym kroku odczuwało się utajoną obecność Piotra Wisłockiego. Nawet na stylu mebli i deseniu firanek wycisnął piętno swojej indywidualności. Wszystko tu było dostosowane do jego upodobań, zapatrywań, zamiłowań. Dwoje młodych znalazło się spowrotem w kręgu jego mocnej, dyktatorskiej woli.

To zapewne było powodem, że Ewa była od dnia powrotu smutna i zdenerwowana. Kobiety są przykre, myślał Stefan, z tem swojem „na wieki", „na zawsze". Przez całe życie zanudzają takiemi pretensjami ukochanego człowieka, a po jego śmierci unieszczęśliwiają tą wieczną pamięcią jego następców. Ewa, to takie miłe, jasne stworzenie, pełne finezji i kociej kokieterji i kwiatowych omdleń, płynące przez życie z gracją łabędzia, ale z bagażem tej „wiecznej" tęsknoty, która ją gotowa ściągnąć na dno.

A Piotr Wisłocki już chyba najmniej z wszystkich śmiertelników na taką pamięć zasługiwał. Potwierdzała to również jego obszerna korespondencja, prowadzona równie namiętnie z damami z towarzystwa, jak i z pokojówkami sąsiadów. Były to listy kwiaciarek, straganiarek, szwaczek, były też listy bardzo subtelnej i znanej poetki, w których uniesienie sięgało zarówno miłości, jak i nienawiści. Stefanowi przy lekturze tych listów wydało się, że trafił na właściwy ślad. Dziewczyna tą kochała Piotra Wisłockiego tak piękną i osobliwą miłością, że Stefan poddawał się urokowi jej słów do tego stopnia, że przeżywał z nią razem krótkie, szalone szczęście, rozpacz, krzyczący smutek i ciszę bezprzytomnej prawie rezygnacji. Widział siebie na miejscu ojca i wkrótce miał pełne serce nieznanej dziewczyny. Poddawał się złudzeniu, że panna Jaga Olsztyńska jego kochała. Listy jej były pełne żarliwej modlitwy i bezgłośnego krzyku, jak listy nowej Joanny d'Acaforado. Tak samo, jak tamta, hiszpańska zakonnica, kochała niegodnego człowieka. Stefan poddawał się coraz bardziej sugestywnemu czarowi słów i tajemniczej magji zawiłego, drobnego pisma. Największym zaś urokiem tej lektury było to, że panna Olsztyńska z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobną do Ewy, w marzeniu oczywiście. A równocześnie upewniał się w tem, że to ona zabiła Piotra. Ku wielkiemu rozczarowaniu dowiedział się, że Jaga zmarła na

Ciąg dalszy na str. 12-tej

OSTATNI WYJAZD W POLE...
STYRJA. *Fot. dr. P. Wolff.*



Ciąg dalszy z str. 10-tej
zapalenie mózgu, na kilka miesięcy przed śmiercią Piotra.

Miał przez jakiś czas w podejrzeniu głośną aktorkę filmową, która zawdzięczała jego ojcu karjerę. Przy bliższem poznaniu stwierdził, że była to bardzo swawolna i lekkomyślna pani, niezdolna do głębszych porywów, a tem mniej do zbrodni.

Napróżno spędzał przy biurku ojca całe dni, wydzierał tajemnicę po tajemnicy, nie mógł jednak odnaleźć śladów zbrodniarki.

Biurko to należało w osiemnastem stuleciu do francuskiego kardynała, wybitnego męża stanu i było urządzone w ten sposób, że przed niepowołanemi oczami kryło korespondencję i kompromitujące dokumenty w podwójnych dnach i ściankach. Ojciec Stefana nabył je na licytacji i kazał nieco zmodernizować, poza tem jednak posługiwał się nim ,jak francuski kardynał, i w tych samych celach. Strzegł sekretu mechanizmu i nie przypuszczał zapewne, że Stefan od dzieciństwa śledził jego tajemnice, często ukryty za portjerą. Po wyjściu ojca, bawił się mechanizmem, z szaloną radością odkrywając skrytki, przeglądał korespondencję, której nie rozumiał, fotografje pięknych kobiet, notatki giełdowe i klejnoty, przeznaczone dla przygodnych kochanek.

Obecnie przydała mu się znajomość mechanizmu. Odkrył prawie wszystkie tajemnice ojca, natknął się na listy, pisane w przededniu samobójstwa przez skompromitowanych polityków i zrujnowanych przemysłowców, przez biedaków, przeklinających za wydarcie ostatniego grosza i przez miljonerów, strąconych kaprysem Piotra na dno nędzy. Znalazł listy oszustów i zbrodniarzy, ofiarujących za lichem wynagrodzeniem, najciemniejsze usługi. Jak mógł wnioskować z ożywionej korespondencji, oferty te nie zawsze pozostawały bez odpowiedzi.

Nareszcie spełniło się najskrytsze, z dni dziecinnych, marzenie Stefana: poznał ojca i to do najtajniejszych zakątków duszy, poznał tajemnice jego serca, ciała, interesów. Nic godnego pochwały, czy pogardy, nie ukryło się przed rozkochanemi synowskiemi oczami. Im więcej go poznawał, tem bardziej go podziwiał. Piotr Wisłocki uczynił sobie z hańby rzemiosło i doprowadził je do niebywałej sztuki. Za takie rzeczy inni siedzieli w więzieniu, a on zdobywał majątek i zaszczyty. Każdej zbrodni umiał nadać piętno legalne, każdej kradzieży pozory prawa.

Zmarły widocznie z satysfakcją gromadził te dokumenty i musiał je przeglądać od czasu do czasu, bo leżały starannie posegregowane podług dat i alfabetu. Stefan szedł po śladach ojca, doznając gwałtownego szczęścia i wzruszenia przy odnalezieniu nowej skrytki.

Nie mógł oprzeć się pokusie, by nie zajrzeć jeszcze do jednego schowka, otwieranego przy pomocy małego guziczka z kości słoniowej. Tam ojciec ukrywał portrecik pewnej kobiety, ślicznej i jasnowłosej, którą Stefan polubił od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał. Miał wtedy pewnie dziesięć lat, nie więcej i bawiąc się w włamywacza przy biurku ojca, odnalazł przypadkiem, najsekretniejszy schowek. Od lat już nie widział jasnowłosej pani. Nacisnął guziczek. Na dnie szufladki leżały owalne nieduże ramka z czarnego hebanu, wykładane srebrem. Ramka były puste. Minjatura znikła. Kto ją zabrał i kiedy, w jakim celu?

Stefan postanowił się tą wiadomością podzielić z Ewą. Ewa miała znowu wyjechać. Tym razem sama. Czuła się bardzo źle i lekarze radzili jakieś zagraniczne sanatorjum. Stefan nie oponował. Uważał, że Ewa wpadała w długie zamyślenia i przygnębienie, graniczące chwilami z krańcową rozpaczą. Winę przypisywał atmosferze domu. Sam również po wyjeździe Ewy miał zamiar wyprowadzić się gdzieś na przedmieście i zabrać się do nauki, by dokończyć przerwane studja. Ewa przyrzekła pisać dwa razy do roku, od czasu do czasu mógł do niej przyjechać na kilka dni i to mu musiało wystarczyć.

Ewa była u siebie, na górze. Stefan nigdy nie był w tem jej home, jak ona to patetycznie nazywała, dziś jednak poszedł. Przyjęła go uprzejmie i zgodziła się, by jej pomógł pakować rzeczy. Uderzyła go nadzwyczajna prostota urządzenia. W dwóch zajmowanych przez Ewę pokojach, prócz kwiatów nie było innego zbytku. Dziwił się, znał hojność ojca wobec kobiet, które zdarzyło mu się przez pewien czas kochać. Widywał je strojne, eleganckie, rozjeżdżające po ulicach własnemi ekwipażami. Dlaczegóż ten człowiek rozkochany w zbytku i pięknie, nie otoczył niemi żony?

Ewa, jakby odgadując myśli Stefana, powiedziała:

— Piotr nigdy tutaj nie przychodził. Urządziłam sobie moje mieszkanie sama i dla siebie. Nasze wspólne mieszkanie było na parterze. Tutaj mieszkałam rzadko, chwilowo, ale tu był właśnie mój dom. Na dole byłam tylko gościem.

Pochyliła głowę i Stefan zauważył, że płacze.

— Rozumiesz, przychodziłam tam tak, jak inne, jak jaśminowa dama. Rozumiesz?

Tak, Stefan rozumiał. To było takie proste. Ewa była stworzona do mieszkania w białem, skromnem, dwupokojowem mieszkaniu, z nieskiemi firankami, gdzie jednak nie chciała być samotną, a gdzie także chciała być jedyną. Zwyczajna, serdeczna dziewczyna, nigdy nie została żoną Piotra w całem znaczeniu tego słowa, a to codzienne schodzenie z piętra na parter, śladami innych kobiet, ileż ją musiało łez kosztować.

Przyglądał się Ewie w milczeniu. Zabierała z etażerki i biurka rozmaite kobiece drobiazgi i układała je w walizce z jasnej skóry. Układała zaś tak starannie i systematycznie, że Stefan zapytał:

— Czy ty wrócisz kiedy, Ewo?

— Chciałabym wrócić, gdyby to było możliwe.

— To zależy tylko od ciebie.

— Nie, to zależy także od niego.

— Od ojca? Ewo, ty żyjesz ciągle pod jego wpływem, to jest właśnie powód twojej choroby, bo przecież ty go już nie kochasz?

Czekał na jej odpowiedź w takiem podnieceniu, że słyszał bicie pulsów w skroni i czuł, jak krew podchodzi do serca.

Ona zaś powiedziała swoje „nie" tak spokojnie i beznamiętnie, jakby odmówiła coctailu. Doprawdy strasznie cudaczne te kobiety, dotrzymują wierności niekochanym ludziom, a kochanych zdradzają często z pierwszym lepszym. Stefan nie miał czasu kontynuować swoich skąd inąd interesujących myśli. Przedewszystkiem chciał zatrzymać Ewę przy sobie.

— Ojciec dał ci swoje nazwisko i dom, a tem samem, masz prawo na zawsze tu pozostać.

Stefan odetchnął wyrecytowawszy powyższy frazes bez zająknienia. Po raz pierwszy wydało mu się, że słowo „na zawsze" może mieć swoje głębsze znaczenie.

Ale tym razem Ewa myślała inaczej.

— Twój ojciec Stefanie, nie wiedział kim jestem, gdy mnie tu przyprowadził.

— A ty byłaś?

— Córką kobiety, którą pozbawił domu, męża, dziecka, dobrej sławy, a następnie porzucił, jak tyle innych. Przytem zrujnował materjalnie jej męża. Mój ojciec umarł w obłędzie w szpitalu. Wychowali mnie i adoptowali obcy ludzie, a gdy i oni umarli, zostałam sama, bez środków do życia i bez rodziny. Szukałam posady i przy tej sposobności poznałam Piotra.

— Czy wiedziałaś?

— Nie. Dowiedziałam się później, przypadkiem.

Układała w walizce resztę drobiazgów, między innymi fotografję, oprawną w jedną z bransolet dogaressy, które kupiła w Rzymie.

— Pomysłowa oprawa — zauważył i zanim zdołała ukryć cacko, wyjął je z jej rąk. Wewnątrz osobliwej ramki znajdowała się minjatura kobiety, którą skradziono z biurka ojca.

— Twoja matka? — zapytał bez tchu.

Spokojnie położyła minjaturę obok innych przedmiotów.

— Tak, moja matka.

Popatrzyła mu w oczy i wytrzymała jego wzrok.

— Pamiętałaś swoją matkę?

— Z fotografji, którą miał ojciec.

— Kiedy ją spotkałam...

— Spotkałaś ją zatem?

— Tak, na krótko przed śmiercią Piotra. Nie była już wtedy podobna do tej ślicznej pani, na którą patrzysz Stefanie. Ujrzałam ruinę człowieka. Rozumiesz? Nędza, suchoty, licha szminka, tandetne jaśminowe perfumy.

Stefan chwycił Ewę za ręce i przemocą zwrócił ją ku światłu. Była bardzo blada, ale spokojna, widocznie przebieg tej rozmowy ustaliła od dawna.

— Gdzie jest teraz twoja matka?

— Umarła, jak byliśmy w Neapolu. Dostałam wtedy list z sanatorjum, zawiadamiający o jej śmierci.

— A tamte listy, na które tak czekałaś?

— Były od niej.

— I ty wiedząc o wszystkiem, kochałaś ją?

— Miłość jest jedną z tych rzeczy, które się nie kończą z chwilą, gdy wie się już wszystko. Dałam mojej matce, co dać mogłam. Pogodne i bezpieczne ostatnie lata, a dać je mogłam w ten sposób, że pojechałam z tobą, by ci przeszkodzić w karjerze Sherloka Holmesa.

— Czy tylko dlatego, Ewo? Chciałaś przecież poznać wartość życia. Robiłem wszystko, by wydało ci się najpiękniejsze, najbardziej godne podziwu, dałem ci trzy lata przygód, podróży, nieustannego piękna. Powiedz, czy wiesz już teraz, ile ono warta?

Odwróciła głowę i powiedziała tak cicho, że ledwo zrozumiał sens słów:

— Ceną życia jest miłość i ja ją zapłaciłam,

Ubierała się powoli w szary podróżny płaszcz i starannie zapinała guziki. Poświęcała im stanowczo za dużo uwagi. Stefan zaryzykował najtrudniejsze pytanie:

— A ona, czy wiedziała, że jesteś jej córką?

— Dowiedziała się później ode mnie, przed naszym wyjazdem. Ogromnie była szczęśliwa.

— I darowałaś jej? Ty? Zapomniałaś?

Nie odpowiedziała, Wiązała przed lustrem gazowy szalik i znowu czyniła to z pedanterją i zainteresowaniem godnem lepszej sprawy.

— Ewo! Odpowiedz mi! Kiedy ją spotkałaś?

— Mniej więcej w czasie, kiedy ciebie zaczęły intrygować jaśminowe perfumy. Jej nigdy nie widywałam, a zauważyłam tylko ten zapach. Byłam trochę zazdrosna i indagowałam Piotra. Zapewniał mnie, że kobieta, używająca tych perfum jest starem czupiradłem. Tak to określił i zaraz bardziej kurtuazyjnie wyjaśnił, że jest również zapomnianym grzechem młodości. Łączyło ich kiedyś romantyczne przeżycie, owszem, ale rozstali się bez scen i histerji, o ile się nie myli, w Paryżu. Przypuszczał oczywiście, że już nie żyła. Odnalazła go teraz i doprawdy była bardzo natarczywa. Gdyby jeszcze szło o pieniądze, byłby je dał chętnie w formie odczepnego, ale baba zwarjowała na starość, żądała, by jej pomógł odnaleźć córkę, którą kiedyś dla niego porzuciła. Nie pamiętał

Dokończenie na str. 18-ej

NASZA NOWA ANKIETA:

Co wiem o miłości?

17. Janina Kulczycka.

„My rządzimy światem, a nami kobiety" — oto znane bon mot, w którem prócz niewątpliwej chęci stwierdzenia, że w gruncie rzeczy kobiety a nie my, mężczyźni, wpływamy decydująco na kształtowanie się historji globu ziemskiego — odzwierciedla się również podłoże tej współzależności, którem zawsze była, jest i pozostanie: Miłość!

Dziś coraz rzadziej przychodzi nam opiewać dzieje takiego wielkiego uczucia, które rękę człowieka, zmieniającą z łatwością granice całych państw, przeistacza w bezwolne narzędzie, posłuszne kaprysom pięknej kobiety. — Zato sceny wielu teatrów żyją i bawią widzów przebiegiem takich historycznych romansów. Celują w tem przedewszystkiem operetki, z których większość jest nie do pomyślenia bez konfliktów miłosnych jakichś głów koronowanych — niekoniecznie królewskich, czasem tylko takich, które zdobi tylko mitra książęca.

I ci właśnie, którym talent pozwolił z życiowym realizmem odtwarzać na deskach scenicznych bohaterów „królewskich romansów", mogą nam niejednokrotnie dać ciekawą charakterystykę uczucia miłości, z którego potem rodzi się żądza władzy, zaszczytów i dostojeństw.

Mógłby ktoś zarzucić, że takie wynurzenia nie będą wiele warte, bo nie wynikają z prawdziwego, istniejącego uczucia, lecz rodzą się w kręgu scenicznej iluzji. Może to i częściowo prawda. Ale nie zapominajmy, że dobra kreacja aktorska opiera się na głęboko ujętym i trafnie podpatrzonym typie, że na scenie nie porusza się papierowa postać, lecz musi żyć prawdziwy człowiek, a wówczas i to wszystko, co wypływa z głębi jego serca, choć tylko na scenie, nabiera rumieńców prawdy. Aktor, czy aktorka, przeżywający po tysiąc razy wielką miłość w jej najrozmaitszych odmianach, nabierają wkońcu prawa do trafnej diagnozy tak różnorodnej, a jednak zawsze tej samej „choroby", jaką jest miłość.

* * *

I tak postanowiłem wciągnąć w krąg naszej ankiety kobietę, dla której słowo: miłość, stanowczo nie będzie nowością. Pomyślałem o wynurzeniach na ten interesujący temat primadonny polskich teatrów operetkowych, Janiny Kulczyckiej, czarującej bohaterki wielu scenicznych romansów...

Ale gdzie jej szukać? — Po pełnym triumfów ubiegłym sezonie przybyła Kulczycka z zespołem wileńskiej operetki do Krakowa i tu gościła przez kilka tygodni, owacyjnie przyjmowana przez publiczność. Ale i te występy, jak każda rzecz na świecie, skończyły się, a Janina Kulczycka weszła w nurt codziennego życia, płynącego zdala od sceny — dosłownie znikła z oczu szerszej publiczności. Może wyjechała po nowe laury, a może tylko zapragnęła odrobiny ciszy i wypoczynku?

Wkrótce dowiedziałem się o właściwej przyczynie tej pauzy. Idąc któregoś dnia w pobliżu kościoła Marjackiego, dostrzegłem sylwetkę artystki, która z zapałem oddawała się karmieniu... stadka gołębi. Ten widok naprawdę mnie rozczulił.

Cóż panią zatrzymało w Krakowie?

— Miłość...

— ?

— Miłość, którą żywię do waszego miasta. Tu czuję się idealnie i tu chętnie odpoczywam po występach na scenie.

— Zaczęła pani bardzo interesująco; właśnie zamierzałem zapytać: Co pani wie o miłości, ale nie o tej, którą „żywi" się do... murów...

— Wiem, wiem — wy mężczyźni nie możecie wyobrazić sobie u kobiety tego rodzaju sentymentów, szczególnie, gdy jest aktorką. Ale u mnie to naprawdę istnieje i w dodatku szczere jak nic innego...

— Ale chyba nietylko to? Przecież pani tyle już razy „kochała się" na scenie...

— To prawda. Niejeden już raz grałam rolę, która poprostu zmuszała mnie do przeżywania wielkiego uczucia. Ale niech się panu mimo to nie zdaje, że miłość na scenie podobną jest do tej z prawdziwego zdarzenia — jej nic nie zastąpi — ona pozostanie treścią życia każdego człowieka, choć nieraz w różnem nasileniu, pod najrozmaitszemi postaciami — do niej każda i każdy tęskni, choć z góry czasem wiemy, iż sprawi nam ból i cierpienie. Takim już jest człowiek. A artysta? Bezwątpienia i on — wbrew temu, co się nieraz sądzi — przeżywa, naturalnie nie na scenie, prawdziwą swą miłość. Na scenie, na której ja żyję, wszelkie konflikty miłosne zawsze kończą się happy-endem. W życiu bywa niestety inaczej...

J. L.



Janina Kulczycka

18. Prof. Władysław Witwicki.

Profesor psychologji Uniwersytetu warszawskiego p. Władysław Witwicki, tłumacz



i komentator pism Platona, po dłuższym namyśle w ten sposób zaczyna ze mną rozmowę na temat naszej ankiety:

— Odpowiadać na pytanie ankiety w poczytnem piśmie literackiem i trudno i nawet... niemiło.

— Czemu trudno? — zapytuję.

— Choćby dlatego, że pytanie zbyt obszerne, a ramy ciasne. Niepodobna odpowiedzialnie i sumiennie zmieścić odpowiedź na zapytanie w kilku słowach. Podobnie i fizyk nie potrafiłby w piśmie literackiem odpowiedzieć krótko na pytanie: „Co wiem o promieniotwórczości?..."

— Nie chodzi przecież o ścisłe wywody naukowe, tylko o parę słów. Aby tylko szczerych...

— Rozumiem — mówi prof. Witwicki — oto, żeby się trochę „odsłonić". Ja też dlatego mówię, że lepiej to potrafi zrobić liryk, aktor, gimnastyk. Dlatego, że ci odsłaniają się zawodowo i zrobili to w ankiecie bardzo pięknie. Niepodobna stawać w szranki — nawet, gdyby ktoś lubiał mieszkać w przeźroczystych ścianach.

— Przecież nie chodzi o sprawy osobiste — mówię — tylko o poglądy, o zagadnienia rzeczowe...

— Na rzeczowe traktowanie zagadnień jest miejsce w szarych książkach, a nie w... czarującem towarzystwie. Tu, naprawdę, idzie raczej o kontakt uczuciowy z ludźmi, którzy coś piszą, albo coś pokazują. Nasze suknie sięgają na codzień aż pod szyję i opatrzyły się. Są prawie, że jednakowe. Tak rzadko można komuś włożyć rękę pod krawat i czuć jak mu tam serce bije. To co mi się zdawało, że wiem o miłości, tom po części już dawno napisał w dużej „Psychologji" i w wielu komentarzach platońskich. Trudno powtarzać jedno i to samo; streszczać też nie jest łatwo.

— O, właśnie, o miłości platonicznej, czy nie mógłby pan profesor czegoś powiedzieć? Czy ona jest u Platona naprawdę taka całkiem „platoniczna"?

— Taka całkiem, — to nie. Platon zgoła nie wykluczał fizycznych zbliżeń między ludźmi, którzy się kochają. Miłość u Platona to mniejwięcej tyle, co bardzo głęboka, szczera, bogata przyjaźń, ilustrowana, jeżeli tego ludzie bardzo pragną, nielicznemi zbliżeniami fizycznemi, bez niczyjej krzywdy. Nie: walka dwóch egoizmów, nie: drapieżna i zachłanna chęć posiadania drugiej osoby na niepodzielną własność i nie: pociąg dwóch płci....

Romit.



Na lewo: Fontanna, przedstawiająca legendarną postać Brabona, z którego imieniem łączy się powstanie Antwerpji.

JAK POWSTAŁA ANTWERPJA?

Słynny na cały świat port antwerpijski, duma Belgji, jest oddalony od morza o 88 km, leży więc w głębi lądu, a pomimo to docierają doń największe statki oceaniczne. Miasto bowiem położone jest nad rzeką Skaldą, która uchodzi do morza Północnego już na terytorjum Holandji, dzięki jednak umiędzynarodowieniu ujścia Skaldy oraz sztucznej rozbudowie portu morskiego w głębi lądu, Belgja przez Antwerpję zyskuje najważniejszy dostęp do morza.

Wybrzeża belgijskie morza Północnego, słynne zresztą ze wspaniałych piaszczystych plaż nadmorskich, nie nastręczają miejsc do budowy portów tak, że na 26 miejscowości nadmorskich tylko dwie duże, tj. Ostenda i Zeebrugge utrzymują stałą komunikację morską z Anglją, Ostenda będąc główną miejscowością kąpieliskową wybrzeża belgijskiego, a Zeebrugge jako „avant — port" historycznego miasta Bruges, leżącego podobnie jak Antwerpja i Gandawa wgłębi lądu. W znaczeniu jednak światowem jako port Belgji, odgrywa główną rolę Antwerpja, która pozatem jako słynne miasto historyczne powstała na miejscu dawnego zamku nad Skaldą, jeszcze w VI-tym wieku.

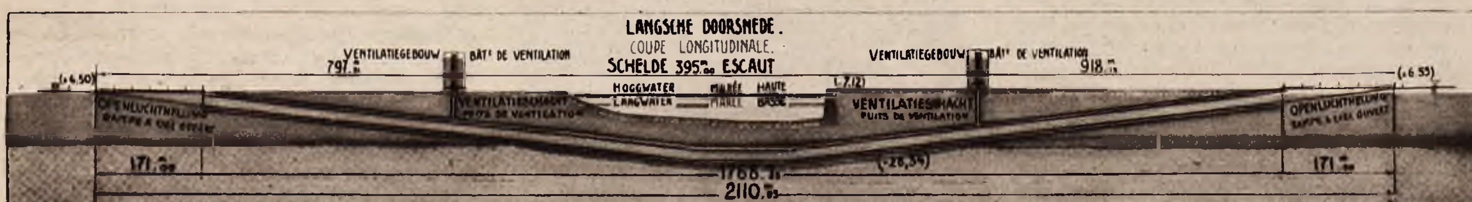


Fragment tunelu długości 500 metrów, ciągnącego się pod Skaldą.

Wedle legendy dotyczącej powstania miasta, okolicę tę zamieszkiwał olbrzym Antigon, pokonany w walce i zabity przez bohatera Brabo, który uciąwszy olbrzymowi rękę, rzucił ją do rzeki. Nazwa tedy „Antwerpen" wywodziłaby się od „Hand werfen", a została ona uwieczniona w przepięknym pomniku-studni, przedstawiającym bohatera Brabo rzucającego łapę olbrzyma. Przepiękny ten w wykonaniu pomnik przypominający do pewnego stopnia pomnik klasycznego greckiego „Dyskobola" znajduje się na najpiękniejszym placu miasta zwanym „wielkim rynkiem". Plac ten, którego piękność można porównać z urokiem placu św. Marka w Wenecji, otoczonym jest monumentalnymi budynkami wspaniałej gotyckiej katedry z wieżą strzelistą, ratuszem oraz szeregiem budynków cechowych o pięknej architekturze. Gdy do tego dodamy, że z rynku tego przez placyk Suikeroni (analogiczny do weneckiej Piazzetty) dostajemy się nad wybrzeże Skaldy (analogiczne znowu do Rio degli Sciavoni) podobieństwo otoczenia z Wenecją staje się jeszcze większe. Skalda w tem miejscu ma około 500 m szerokości i tam dobijają główne statki pasażerskie, widok zaś na miasto z drugiej strony rzeki jeszcze więcej potwierdza to podobieństwo do Wenecji, przyczem dominującym momentem są liczne wysmukłe wieże kościołów na wzór weneckich campanilli, oraz statki stojące u wybrzeża. Podobnie jak Wenecja została sztucznie zbudowaną na wyspach, tak też i Antwerpja jest sztucznym portem.

Otóż w związku z tą rozbudową ma znaczenie słowo holenderskie „antwerp", które oznacza tamę zbudowaną przeciwko naporowi wody. I rzeczywiście śledząc rozwój miasta i portu widzi się pracę i walkę z wodą dla utrzymania połączenia z morzem. Zwłaszcza szybki rozwój miasta datuje się od upadku konkurencyjnego miasta i portu Brügge. Następnie odkrycie Ameryki i nowej drogi do Indji przerzuciło centrum handlowe z nad morza Śródziemnego nad Atlantyk, a Antwerpja wkrótce stała się ojczyzną wszystkich narodów. Ten okres pierwszego rozwoju trwał aż do końca XVI wieku i w czasie tym powstały najważniejsze zabytki historyczne miasta. Następnie przyszły najazdy obcych, w mieście byli długo Hiszpanie, potem Austrjacy, a wkońcu Francuzi. Ważność Antwerpji jako portu morskiego umiał docenić Napoleon I, który nazwał Antwerpję naładowanym pistoletem zwróconym w serce Anglji. Jednak czasy blokady kontynentalnej dały się miastu bardzo we znaki, z chwilą zaś upadku Napoleona, Antwerpja wraz z Belgją została przyłączona do Holandji. W tych czasach handlu z kolonjami holenderskiemi miasto znów nabrało wielkiego znaczenia handlowego, ale znowu upadło z chwilą walk o niepodległość w r. 1830. Ostatecznie z powstaniem samodzielnego państwa belgijskiego weszła w trzeci okres rozwoju i wówczas to rozpoczęły się najważniejsze prace około rozbudowy portu.

O rozwoju miasta świadczą cyfry, w r. 1800 liczyła Antwerpja 56.000, w r. 1855 już 100.000, obecnie 600.000. Port pasażerski obejmuje wybrzeże nad Skaldą urządzone jako port, z długością wybrzeża do lądowania 5.5 km. Natomiast port handlowy obejmuje sztuczne baseny, wykopane w lądzie,



Przekrój tunelu łączącego pod rzeką Skaldą dwie części Antwerpji.



Na lewo: Ogólny widok Antwerpji: na lewo katedra, w środku ratusz.

a połączone ze Skaldą za pomocą śluz. Otóż w całości wykonane sztuczne wybrzeże do lądowania statków handlowych, wewnątrz wykopanych basenów wynosi 41.5 km, a po dodaniu wybrzeża nad Skaldą liczy ono 47.2 km, czyli więcej aniżeli odległość Antwerpji od Brukseli. Natomiast powierzchnia wodna portu w całości obejmuje 1115 ha, z tego 718 ha wypada na Skaldę, na baseny porto we 397 ha. Otóż w tych cyfrach 397 ha, powierzchni sztucznie wykopanych basenów, oraz 41.5 km sztucznie uzyskanego wybrzeża leży największa wymowa włożonej pracy. Rozbudowa portu antwerpijskiego w terenie lądowym po prawym brzegu Skaldy odbywała się w kilku etapach.

Na prawo: Kanał króla Alberta, łączący Belgję z Holandją, uruchomiono w bieżącym roku.





Fragment portu wraz z zamkiem (po prawej), sięgającym początków handlowego znaczenia miasta

Właściwą budowę nowoczesnego portu zainicjował Napoleon I w czasie blokady kontynentalnej, wówczas to stworzono pierwsze baseny, oraz w r. 1811 zbudowano śluzę Bonapartego. (Śluza ta ma 18 m szerokości, oraz 7 m głębokości prowadząc od Skaldy do basenów oraz doków Bonapartego i Wilhelma). W r. 1860 zbudowano śluzę Kattendyk nieco na północ od poprzedniej. Posiada ona 22 m szerokości, 180 m długości i 8 m głębokości i prowadzi do basenów i doków Kattendyk. W r. 1909 zbudowano śluzę Rogersa (szerokość 22 m, długość 180 m, głębokość 11,40 m) służącej jako wejście dla mniejszych statków do głównego portu. Ostatnią jest śluza Kruisschansa o szerokości 35 m, długości 270 m, głębokości 14,50 m, otwarta uroczyście 31. VIII. 1928 r. Śluza ta znajduje się na północ od miasta i w ten sposób główny port handlowy został nieco zbliżony ku morzu. W tej części portu znajdują się najobszerniejsze baseny i doki, a objazd całego portu motorówką i zwiedzenie jego urządzeń winien stanowić cel odrębnej wycieczki, pozwalającej poznać cały trud sztucznie uzyskanego portu oceanicznego w głębi lądu.

Wreszcie w bieżącym roku otwarto kanał króla Alberta, łączący Belgję z Holandją. Kanał ten rozpoczyna się na terenie portu antwerpijskiego, poczem biegnie wgłąb lądu przez kraj lasów i wydm, a potem wzgórzy, by po pokonaniu poważnych trudności terenowych połączyć Belgję z Holandją drogą wodno-śródlądową. Antwerpja więc w jedną stronę ku ujściu Skaldy połączona jest drogami morskiemi z całym światem, w drugą stronę wgłąb lądu kanałami z resztą Belgji (np. Brukselą) oraz z Holandją, Niemcami i Szwajcarją za pośrednictwem Renu i Mozy.

Wreszcie do wielkich prac wykonanych w Antwerpji należy dodać otwarte w r. 1933 dwa tunele pod Skaldą, łączące prawobrzeżne miasto z rozbudowującą się Antwerpją lewobrzeżną. Tunele te są prawdziwymi dziełami wysokiej techniki, przyczem najlepszą wymową będą cyfry. Tunel dla pieszych długości 570 m, średnica wewnętrzna 4,30 m, szerokość drogi 3,80 m. Dostęp do tunelu ułatwiają ruchome schody i ruchome krzesła umieszczone u obu wylotów tunelu. Natomiast tunel dla pojazdów posiada 2 km, 111 m dług. zewnętrznej średnicy, 9.40 m wewnętrznej 8.70 m, szerokość drogi 6.75 m, wysokość wnętrza tunelu 4.465 m.



Plan Antwerpji, dzielącej się na dwie tunelami połączone części.

Rozmach więc rozbudowy i urządzeń portu antwerpijskiego przypomina zupełnie rozmach rozbudowy Gdyni, przyczem ta ostatnia ma tę wyższość nad Antwerpją, iż jest portem oceanicznym, bezpośrednio położonym nad morzem, podczas gdy dostęp do Antwerpji musi się odbywać za pośrednictwem Skaldy oraz całego szeregu śluz. W każdym razie rozbudowa Antwerpji dowodzi, że dla pracującego narodu nie istnieją żadne trudności stworzenia portu morskiego nawet w głębi lądu.

Dr Adam Gadomski.



Powyżej:
Taniec bawarski.
Fot. Van Dyck, Warszawa

Napewno mało jest takich tancerek, których sztuka działałaby tak przemożnie, tak sugestywnie na widzów, jak to się dzieje podczas występów Ziuty Buczyńskiej.

Co na to się składa? Otóż Buczyńska jest przedewszystkiem rasową kobietą, najbardziej współczesną i jako taka wtapia w swe kompozycje taneczne cechy tego typu kobiecego, który drogą ewolucji zasadniczych pojęć na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza wytworzył się jako dominująca wśród dziś żyjącego pokolenia sylwetka. Buczyńska jest ale także rasową tancerką, dla której sztuka pozostanie wszystkiem, która nią żyje. I to się właśnie odzwierciedla w jej tańcu — od pierwszego kroku, aż po ostatnie drgnienie ramion. Dlatego mało jest takich, którzy patrząc, nie idą za nią wówczas, gdy na scenie czy estradzie buduje swe subtelne, bogate w tematy kompozycje taneczne. Jej sztuka, utrzymująca się na wyżynach rzadko spotykanego artyzmu, przemawia do nas skrystalizowaną formą, wolną od zagadek i niejasności.

Czy jest piękną? — Z tem pytaniem spotykamy się dziś prawie zawsze, gdy mowa o artystce, którą się wszyscy zaczynają interesować. — Jest nią bezwątpienia, ale nie w pojęciu klasycznej urody, którą od lat związaliśmy z wizerunkami dawnych bogiń tańca: Loli Montez, Sacharet, Cleo de Merode, Pawłowej. Buczyńska uosabia, jak to wyżej zaznaczyliśmy, typ współczesnej kobiety i to również, a może przedewszystkiem w zewnętrznym wyglądzie. Nie przeszkadza jej to, gdy odtwarzając jakiś taniec klasyczny, ma zachować pełnię jego charakteru. Czy to będzie menuet do muzyki Scarlattiego („Paź"), czy walc wiedeński, koncepcja artystki nie odbiegnie zasadniczo od pojęć, które zaszczepiły w nas dawne klasyczne wzory. Ale będą to tylko ramy, w które Buczyńska oprawia swe tańce, przepojone zawsze cechą współczesnej rytmiki, władającą przemożnie nad ruchami jej gibkiego ciała. I dlatego te tańce, choć duchem swym od nas odległe, trafnem uchwyceniem formy stają się nam bliskie. W kompozycjach ludowych pozostanie artystka, nietylko u nas niedoścignionym wzorem tancerki, która umie po mistrzowsku wyzyskać swą bogatą i oryginalną inwencję.

J. L.



„Z ksi[...] dżungli"
Fot. Dr. [...] Kraków



Powyżej:
„Paź" (do muzyki Scarlattiego).
Fot. Van Dyck, Warszawa

Tańczy Ziuta Buczyńska...







Trzy polskie — tańce ludowe.
Fot. Enkelmann — Berlin.

Dokończenie z str. 12-ej

oczywiście, czy tam była jakaś córka. Wyśmiał ją. Ale ona była chora i marzyła tylko o tem, by jeszcze raz w życiu zobaczyć swoje dziecko. Nachodziła go w dalszym ciągu. Ogromnie nieprzyjemna historja. Kiedyś owszem była śliczna, zapewniał Piotr gorąco i stracił dla niej głowę, nie nadługo zresztą. Z sentymentu zachował nawet jej portrecik. Chcąc mi to udowodnić i swój sentyment i jej minioną piękność, wyjął ze skrytki biurka znany ci portrecik. Ledwie ukryłam wzruszenie. Poznałam ją odrazu: to była moja matka, ta sama, którą znałam z fotografji, jaką miał ojciec. Poprosiłam Piotra, by mi ją podarował, opanowałam się nawet na tyle, że skłamam, że kolekcjonuję minjatury, a ta jest wyjątkowo piękna. Zdaje się, że uwierzył, był wogóle ogromnie lekkomyślny i dał mi minjaturę, jednak bez ramek, które miały specjalną wartość, już nie wiem dlaczego.

— Do późnej nocy płakałam, pochylając się miłośnie nad niewidoczną twarzą mojej matki. Całemi godzinami zwierzałam jej słowa miłości nagromadzone przez lata.

— Byłam pewna, że przyjdzie na drugi dzień, że przyjść musi. Chciałam ją chociaż zobaczyć, nic więcej, doprawdy nic więcej, Stefanie. Ukryłam się w gabinecie Piotra za portjerą, w tem samem miejscu, z którego ty go śledziłś, będąc dzieckiem. Widocznie to miejsce miało już takie przeznaczenie. Zapadł mrok. Piotr, który miał doskonały wzrok, a nie znosił zbyt jasnego światła, posługiwał się przy pracy tylko niedużą lampą z ciemnym kloszem, która oświecała zaledwie blat biurka. Z ostrożności, jak wiesz, kładł obok siebie rewolwer z odwiedzionym bezpiecznikiem Z mego ukrycia widziałam dokładnie jego wąskie ręce oparte na stosie listów, które czytał, notując od czasu do czasu swoje spostrzeżenia na osobnej kartce papieru. I wtedy migotał złoty ołówek, który mu kupiłam na imieniny.

— Było już późno. Przeczucie jakieś zatrzymywało mnie w miejscu. Nie zawiodłam się. Ona przyszła. W jaki sposób dostała się do tego pokoju? Czy służba ją znała, puszczając bez meldowania, czy może użyła jakiegoś wybiegu? Nie wiem, nie mogłam jej o to pytać. Piotr zdawał się przerażony. Podniósł się z krzesła. Scena między nimi rozgrywała się w mroku, w jasnym kręgu niskiej lampy, pod ciemnym abażurem, widoczne tylko były ich ręce. Ręce Piotra oparte zuchwale o stos papierów i kurczowo zaciśnięte na krawędzi biurka, ręce mojej matki, okryte podartemi koronkowemi rękawiczkami. Słyszałam tylko ich głosy. Matka raz jeszcze błagała go o pomoc. Twierdziła, że umrze niedługo i nie będzie mu już zawadzać, ale ma mało czasu i jeszcze mniej pieniędzy.

— Oddaj mi moje dziecko, Piotrze. Jesteś bogaty, wszystko możesz. Przypomnij, że odeszłam za tobą, łamiąc serca moich. Wziąłeś mnie, a mimo to, zgubiłeś ich. Mój mąż umarł w nędzy, moja córka, może musiała zarabiać na życie, tak samo, jak ja.

— A jakże ty zarabiałaś? — zaśmiał się szyderczo.

— Porzuciłeś mnie w Paryżu, chorą i bez grosza. Nikogo nie znałam. Cóż mogłam robić w Paryżu, jak ci się zdaje?

— Och, to mnie zupełnie nie interesuje, moja droga.

— Czy wiesz Stefanie, co ja czułam, słysząc tę rozmowę. Pomyśl, co on uczynił z mojej matki. Bo ta kobieta była moją matką. Moją matką pomimo wszystko. I miała prawo trzymać mnie w ramionach i całować w usta, pomimo tych pocałunków ohydnych, którym się poddać musiała. Ta kobieta miała prawo do mnie niezaprzeczone i większe od tego, jakie miał Piotr. Nie mogłam się zdecydować, by wyjść ze swojego ukrycia i powiedzieć jej prawdę.

— Płakała, przeklinała, prosiła go i złorzeczyła mu. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, bo stał ciągle pogrążony w mroku, tylko ręce jego spokojne i opanowane, oparte o stos papierów, które może miały zdruzgotać jeszcze niejedno spokojne życie ludzkie, tak, jak zniszczyły życie moich rodziców. Obrzucił ją stekiem ordynarnych słów. Wyrzucał ją za drzwi. Szamotał się z nią. Zniecierpliwiony oporem uderzył ją. Stefanie! Matka i dziecko, związane są niewidzialnemi węzłami uczuć i nerwów, aż do śmierci, To nieprawda, że wszelka łączność fizyczna zostaje przerwana z chwilą przyjścia dziecka na świat. Nieprawda. Kiedy ją uderzył, ja się zachwiałam od tego ciosu. Odczułam ból fizycznie i krew uderzyła mi do głowy. Uczucie, które mnie popchnęło w ich kierunku było silniejsze ode mnie. Na biurku w jasnym kręgu światła leżał rewolwer, wystarczył jeden ruch ręki, by go ująć. Widziałam, jak jej ręka wyciągnęła się w kierunku rewolweru, jej biedna, słaba, pomarszczona ręka. Chciałam jej przeszkodzić, chciałam jej tylko przeszkodzić, nic więcej, zapewniam cię. Tyle już wycierpiała biedna moja, nie mogłam dopuścić, by zabijając go, sprowadziła na siebie nowe nieszczęście i wtedy...

— Ona go zastrzeliła?

— Nie, to ja go zastrzeliłam, Stefanie!

— Ewo!

— Nie widziała mnie. Przerażona uciekła. Odnalazłam ją potem, ale nie dowiedziała się nigdy, kto zabił Piotra Wisłockiego.

Stefan stał przed Ewą bez ruchu. Nie mógł oderwać oczu od jej bladej, dziecinnej twarzyczki i wielkich niebieskich oczu, pełnych łez. Nagłe wzruszenie opłynęło całe jego ciało, jak krew.

— Pozwolisz mi odejść? — spytała niepewnie.

— Jesteś wolna, Ewo.

Zamknęła jasną walizkę. Wzięła ją w rękę. Popatrzyła przez łzy, na swój biały „home" z niebieskiemi firankami. Potem na Stefana. Nie podała mu ręki.

Odwróciła się jeszcze od drzwi.

— Na twojem biurku leży list do ciebie.

Więc i to przewidziała, że jej pozwoli odejść?

Zamknęła za sobą drzwi. Słyszał na schodach jej odchodzące kroki. Liczył je w milczeniu. Kiedy ucichły, zeszedł do swego pokoju. Na biurku leżał list. Rozerwał kopertę. Wypadł z niej czek, podpisany przez Ewę, a opiewający na całą sumę, jaką złożyli w banku na jej imię, przy podziale spadku.

Patrzył w milczeniu na szeregi cyfr, sięgające ogromnej sumy i wreszcie rozpłakał się, jak dziecko. Ten czek, to była cena jego życia.

Więc tylko na tyle oceniłaś mnie Ewo! Ewo!

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie jej ciche, pokorne słowa:

— Ceną życia jest miłość i ja ją zapłaciłam.

Piotra nie kochała już dawno. Kogo więc utraciła? Za kogo zapłaciła taką wysoką cenę?

Przypomniały mu się jej wilgotne oczy i rozwarte usta, gdy stali obok siebie na pokładzie statku, jej drżące ręce, gdy ją w tańcu obejmował, jej uśmiechy, pojawiające się i znikające, zanim zdążył zapytać się, co je wywołało, jej obronne ruchy, kiedy zbliżał się do niej po bratersku, zbyt poufale. Przed czem się broniła? Dlaczego? Świadomie czy nieświadomie?

— Ceną życia jest miłość.

Powlókł się spowrotem na piętro i wszedł do jej pokoju, gdzie nigdy nie wchodził Piotr Wisłocki. Stanął w oknie, podniósł storę i patrzył na światła wielkiego miasta i srebrne tunele ulic, wypatrując w tłumie powrotu tej jedynej kobiety, na którą nigdy nie czekał Piotr Wisłocki...

Gdy włączamy pierwszy bieg



Oryginalne napisy można spotkać na drogach amerykańskich: w tym wypadku brzmi on: „Warjaci drogowi! Przygotujcie waszą trumnę, zanim weźmiecie ten zakręt"

Liczba wypadków drogowych wzrasta z roku na rok, co jest rzeczą nie dziwną, skoro się zważy, jak bardzo wzrasta motoryzacja we wszystkich krajach. Niemniej jednak liczba wypadków wzrasta nieproporcjonalnie do ilości pojazdów, jakie przejeżdżają po wszystkich szosach i we wszystkich możliwych kierunkach.

Kilkanaście lat temu na cztery wypadki drogowe, jeden — zgodnie ze statystyką — był spowodowany przez automobil. Dziesięć lat temu ilość wypadków spowodowanych przez auta wyrażała się stosunkiem 2:4. Wkrótce możemy spodziewać się, że statystyka wykaże stosunek 4:4.

Tego właśnie obawia się pewien publicysta francuski, który na podstawie danych statystycznych, zebranych głównie we Francji, ale także i w innych silnie zmotoryzowanych krajach, snuje rozważania na temat, co właściwie powoduje tak liczne wypadki na ulicach i szosach.

Okazuje się, że we Francji w zestawieniu z ilością aut (około 2,500.000 w r. 1936), wydarzyło się mniej wypadków, niż w innych krajach. Ilość jednak ofiar wzrasta, bo w r. 1935 w wypadkach drogowych zabitych zostało 4.252 osoby, w r. 1936 według statystyki ministerstwa spraw wewnętrznych — 4.360 osób.

We Francji zresztą rozmaite organizacje



Ważnym warunkiem bezpieczeństwa na szosach jest znormalizowanie tylnego oświetlenia mechanicznych pojazdów.

i czynniki rządowe i prywatne od dawna już usiłowały wszelkiemi możliwemi sposobami zapobiegać tak licznym wypadkom. Powstała więc przed kilkoma laty organizacja turystyczna, która specjalnie zajęła się kwestją bezpieczeństwa na szosach. Wyrównano wtedy liczne niebezpieczne zakręty, ochroniono przejazdy kolejowe, poustawiano niezliczone ilości ostrzeżeń i znaków.

Organizacja ta weszła w kontakt z analogicznemi związkami turystycznemi kilku innych krajów i doprowadziła do zebrania się w Genewie przed kilkoma miesiącami pierwszej międzynarodowej konferencji, poświęconej sprawie bezpieczeństwa na szosach. Na skutek tej konferencji, we Francji podwojono energję w tym kierunku, otwierając w ministerstwie robót publicznych specjalną sekcję bezpieczeństwa, na międzynarodowej wystawie paryskiej uwagę zwraca specjalny pawilon, poświęcony temu zagadnieniu.

Chodziłoby o to, by zdać sobie dokładnie sprawę z ogólnych założeń, z jakich trzeba wyjść i o jakich należy wciąż pamiętać, by sobie i innym zapewnić bezpieczeństwo na szosie. Bezpieczeństwo to bowiem zależy jedynie i wyłącznie od pewnej ogólnej dyscypliny, nie tylko automobilistów, ale wszystkich osób, czy to jadących szosą jakimkolwiek innym środkiem lokomocji, czy idących pieszo.

Zupełnie inne warunki obowiązywać muszą kierowcę w mieście, a inne na szosie. Wielu już autorów zajmujących się sprawą regulacji ruchu w mieście zwracało uwagę na to, że bardzo wiele wypadków na skrzyżowaniach ulic dzieje się właściwie bez niczyjej winy. Automobil jadący nawet z bardzo małą chyżością wpada na skrzyżowaniu pod prostym kątem na rowerzystę z tego powodu, że kierowca nie mógł go, zasłoniętego rogiem kamienicy, parkanu itd. zawczasu zobaczyć, i nie mógł też słyszeć dzwonka roweru. Zwracano więc na to uwagę, że ruch powinien właściwie odbywać się nie po brzegach jezdni, ale raczej ku środkowi jezdni, ażeby automobilista miał większe pole widzenia, jeżeli chodzi o przecznice. Oczywiście rzecz taka dałaby się rozwiązać jedynie na szerokich ulicach, których jest tak bardzo znikoma ilość we wszystkich miastach.

Oczywiście kardynalną sprawą w unikaniu wypadków na skrzyżowaniach ulic, a takżsamo na skrzyżowaniach na szosie jest zwalnianie tempa jazdy, co jednak nie zawsze może być ściśle przestrzegane, inaczej bo-



Rowerzysta, nie posiadający światła przepisowego, to jeden z powodów wypadków na szosach.

Poniżej: Jeden z powodów katastrof drogowych: Światło oznaczające postój, umieszczone jest z przodu samochodu.





Poniżej: Oto nowoczesna sz[illegible] samochodom gwarancję pewnej jazdy.



Świetlne strzałki są konieczne, by orjentować inne samochody o kierunku jazdy. Oto trzy możliwe miejsca umieszczenia strzałek



Orjentacyjne słupy na szosach angielskich podające maksimum dopuszczalnej szybkości: w tym wypadku 30 mil na godzinę.

wiem automobil musiałby prawie stale poruszać się z minimalną szybkością.

Bardzo wielką ilość wypadków na szosie powodują zarówno automobile starego typu, posuwające się żółwim krokiem i automobiliści, pragnący prześcignąć maszynę jadącą przed nimi. Przy takiem wymijaniu zdarza się bardzo wiele wypadków. Na naszych drogach ta sprawa komplikuje się specjalnie przez olbrzymią ilość pojazdów konnych, a więc furmanek, a przedewszystkiem przysłowiowe wozy z drzewem o niezwykłych nieraz długościach. Fura taka, wioząca kilka ściętych drzew potrafi zatarasować szosę na olbrzymiej przestrzeni, a automobilista chcący wszędzie wyminąć tę żywą przeszkodę bardzo często naraża siebie i drugich na katastrofę.

Zauważono również, że powodem wielkiej ilości wypadków automobilowych są rowerzyści, którzy nie jadą, jak powinni, samym krajem szosy, lecz wykonują ewolucje na środku drogi, nieraz dla fantazji jadąc od rowu do rowu. Ostatnio nawet zdarzyło się u nas kilka śmiertelnych wypadków z tego powodu, że kierowca nie chcąc najechać na rowerzystę, wpadł w rów lub na drzewo, albo też przy gwałtownem zahamowaniu wywoływał katastrofę wskutek przekoziołkowania czy zarzucenia wozem.

W nocy wszystkie te zagadnienia komplikują się jeszcze bardziej, zważywszy, że fury i różne bryczki wiejskie z zasady są nieoświetlone, a rowerzyści również nie posiadają odpowiednio silnych świateł. Z temi światłami jest wciąż jeszcze sprawa nierozstrzygnięta, chociaż ostatnio obowiązują automobilistów specjalne sygnały świetlne, wskazujące kierunek zamierzonego skręcenia wozem, oraz specjalna sygnalizacja na tyle auta.

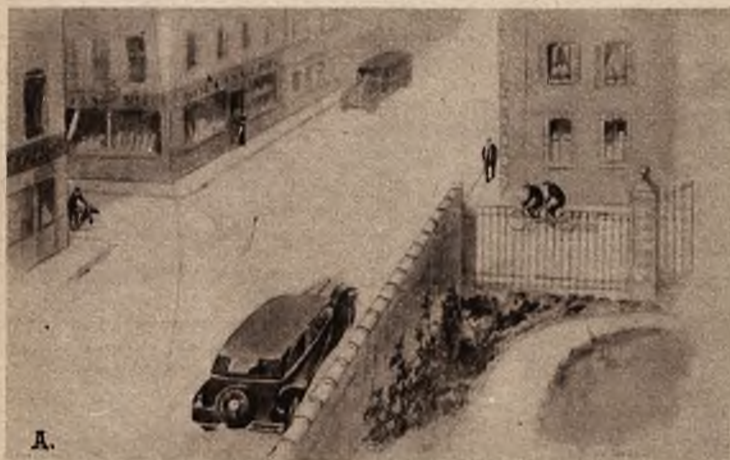
Nie można zaprzeczyć, że bardzo wiele wypadków powodują kierowcy niedość wyszkoleni, pijani, albo nerwowi, a również same maszyny często są powodem katastrof. Celują w tem auta t. zw. „okazyjne", a więc wybrakowane stare gruchoty, odświeżone ad hoc, które funkcjonują jeszcze jako tako przez pewien czas i nagle płatają „szczęśliwemu", a niefachowemu nabywcy jakiegoś przykrego figla, który częstokroć boleśnie odbija się także na osobach trzecich. Dlatego też we Francji wprowadzono dorywczą kontrolę maszyn na szosach oraz obowiązujący co pewien okres czasu egzamin starych aut, stów, czy nadają się one jeszcze do użytku to znaczy dokładne badanie przez specjali- z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego.

Jak już wielokrotnie czytaliśmy ostatnio w prasie, kwestja sygnalizacji dźwiękowej została rozwiązana w wielkich miastach Zachodu w sposób negatywny, to znaczy, że poprostu została zabroniona. Okazało się, że od chwili wejścia w życie zakazu używania głośnych klaksonów, trąbek i dzwonków, ilość wypadków ulicznych zmiejszyła się znacznie z tego prostego powodu, że każdy przechodzień ma się na baczności, wiedząc doskonale, że nie może liczyć na ostrzeżenie ze strony kierowcy. U nas niestety ta sprawa wciąż czeka jeszcze na odpowiednie załatwienie.

Łączy się z nią także kwestja szanowania ciszy nocnej, która w większych miastach w Polsce jest tylko złudzeniem. Automobiliści trąbią bowiem niemiłosiernie po nocach, chociażby nikogo na ulicy nie było. W miastach Zachodu np. w Paryżu od bardzo wielu już lat zabroniono używania sygnałów dźwiękowych po godzinie 11-tej wieczorem i ograniczono się jedynie do ostrzegawczej sygnalizacji świetlnej, co dało doskonałe wyniki i odpowiednio uszanowało spoczynek mieszkańców.

Bezpieczeństwo ruchu na ulicach miast i na szosach jest w każdym kraju zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, badanem przez fachowców, przez odnośne komisje i związki. Niewątpliwie jednak upłynie jeszcze sporo czasu, nim sprawa ta zostanie tak uregulowana, by równocześnie z pochodem motoryzacji nie zwiększała się ilość śmiertelnych jej ofiar, po największej części niewinnych i przypadkowych.

Z.





Oto dwie sytuacje powodujące wypadki drogowe: *A)* Automobilista jadący prawą stroną nie widzi rowerzystów, którzy z tejże strony wyjadą wkrótce z bocznej ulicy, natomiast widzi rowerzystę jadącego z lewej strony. — *B)* „Gruchot," jadący z szybkością 35 km. na godzinę, zajmuje środek szosy, zmuszając szybsze i niecierpliwiące się samochody do nieprawidłowego wymijania.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

JAKI PIĘKNY JEST ŚWIAT...

TANGO-PIOSENKA

Z REPERTUARU MIECZYSŁAWA PRĘGOWSKIEGO

SŁOWA i MUZYKA: REF-REN

Roz-sło- necznił się gaj, roz-zie-le-nił się maj, Rój mo-ty-li do nie-ba się wzbił! Z za ob-ło-ków od lat Słońce patrzy na świat i do ży-cia do-da-je nam sił!... Jaki piękny jest świat, Ja-ki wielki jest świat, Ja-kie zło-te jest słoń-ce, co świe-ci nad światem!

Ja-ki piękny jest świat, Ja-ki wiel-ki jest świat, Czy to w dzień, czy to w noc, Czy to zi-mą, czy la-tem! I pły-nie śpiew Do gwarnych miast, Do kwiatów i do drzew, Do słońca i do gwiazd! I tęs-kno-ta od lat, ży-je w ser-cu na dnie Że-by ujrzeć ten świat, Chociaż raz i nie tyl-ko we śnie!

IMĆ PAN SZYMON OSSOWSKI

ROMAN BACH-ŻELEWSKI

SZKIC HISTORYCZNY

Pewnego pięknego wieczora czerwcowego, roku Pańskiego 1599, w znanej w całym Gdańsku gospodzie imć Bartłomieja było rojno i gwarno. Można było tu widzieć zmięszane ze sobą różne stany, zawody i racje. W pobliżu skupionych na poczesnem miejscu panów szlachty, przybyłych Wisłą ze zbożem, siedzieli zamożni kupcy gdańscy, obok ociężałych żeglarzy niemieckich, przybysze ze wszystkich stron Europy zagnani tu im tylko wiadomemi sprawami. Mimo tak rozmaitego skupiska ludzi spokój panował tu zawsze większy, niż w innych gospodach. Było to zasługą imć Bartłomieja, który burzące się temperamenty potrafił poskromić bądź rozsądnemi słowy, bądź postawioną kolejką miodu, bądź wreszcie siłą swych potężnych ramion. Dzierżąc w ogromnej dłoni gąsiorek wyborowego miodu, skierował się właśnie do swego prywatnego alkierza, którego użyczał jedynie dostojniejszym gościom. Siedziało tam obecnie dwóch ludzi. Jeden z nich, mający około trzydziestu lat, człowiek wyjątkowo silnej budowy, był szlachcicem z zamożnego rodu, jak na to wskazywał jego strój, a szczególnie kosztowne guzy u żupana i zapinka przy kołpaku leżącym na ławie. Nie spuszczał oczu z twarzy swego towarzysza, słuchając z zainteresowaniem jego słów. Ten zaś, mniejwięcej siedemdziesięcioletni starzec, ubrany był w mocno podniszczony, acz niegdyś wspaniały kontusz. Twarz jego szczupła i koścista jak cała postać, była spalona na bronz przez wichry morskie. Ręka, którą wyciągnął do gospodarza po gąsiorek, była pokryta szeregiem blizn po cięciach. Znać swego życia nie przepędził na ławie pod piecem. Był to Szymon Ossowski, zawołany rycerz i żeglarz na morzach dalekich. Towarzysz jego, pan Kazimierz Pasek, był również przedstawicielem jednego z najprzedniejszych rodów szlacheckich na Pomorzu.

Drzwi zamknęły się cicho za imć Bartłomiejem i stary szlachcic, pociągnąwszy ze smakiem miodu, wrócił do przerwanego wątku opowiadania.

— Ergo, mości kawalerze, stryjca swego pamiętać nie możesz, boś jeszcze bez uchyby, koszulę w zebach nosił, gdyśmy z Florjanem Polskę opuścili. Ciągnęło nas zawsze na morze, a że nie mogliśmy w kraju naszych pragnień zaspokoić, wyjechaliśmy do dalekich Niderlandów. Był to rok siedemdziesiąty drugi. Niderlandczyki, albo jak ich też zwą — Olendry, burzyli się przeciwko Filipowi II, który w odległej Hiszpanji i u nich zarazem regnavit, a który jak waści wiadomo, w roku zeszłym pomarł. Wódz, książę Alba, srogo karał bunt i jedynie co śmielsi nie ustawali w walce, lecz utworzywszy związek tak zwanych „Gezów wodnych", korsarskim procederem nękali armadę i kolonje regis. A trzeba waści wiedzieć, że Niderlandczyki acz powolne i łagodne, są przednimi żeglarzami i wcale nie pstępują naszym Kaszubom. Otóż zaciągnęliśmy się z Florkiem do nich i siła świata i ludzi poznaliśmy i siła przygód zaznaliśmy. Zetknął się człowiek po przyjaźni a i na długość szabli z układnymi Francuzami, z ponurymi Angielczykami, z Hiszpanami, aż dziw jak łasymi na cudze dobro i dumnymi, jakby każdy był władcą królestwa, w którem słońce nigdy nie zachodzi, jak mówią o swej Hiszpanji. Wszystkie te nacje mają jednak jedną wspólną cechę — iście kawalerską fantazję w walce. Otóż obaj z stryjem waści, jako, że człowiek był zaprawny w rzemiośle orężem jak nikt z Niderlandczyków, a i morza peritus, bo i ze zbożem pływał z Gdańska i z Kozaki na czajkach aż pod Konstantynopol się puszczał, ergo szybko zdobyliśmy sobie mir u nich i dostaliśmy każdy po jednym brygu godnie opatrzonym pod swe rozkazy. Jako że łączyła nas wielka amicitia, przeto staraliśmy się społem na wyprawy chodzić. Nie zawsze było to możliwe. Jak to zwykle bywa tempore belli, byliśmy raz na wozie, raz pod wozem, ale zawsze wychodziliśmy z opresji summa cum laude dla siebie i całego polskiego stanu szlacheckiego.

Podobnie jak i inni, mieliśmy za zadanie wyłapywać bogato ładowane galjony, idące z Nowego Świata, a przy sposobności skruszyć jakąś samotną fregatę hiszpańską. Musisz waszmość wiedzieć, że okręty Wielkiej Armady znacznie przewyższały nas uzbrojeniem, a my jedynie zwrotnością małych statków. W jednej z takich wypraw popadłem w ostateczne terminy, z których mnie jedynie auxilium Bożej Rodzicielki za pośrednictwem stryjca waścinego wydobyło. Bowiem choć na żołdzie luterskim byliśmy, świętej naszej wiary żaden z nas się nie zaparł. Płynęliśmy tedy, ja na „Brielle", Florjan na „Overyssel", z pomyślnym wiatrem cieśniną między Anglją a Francją i wreszcie dotarliśmy do oceanu. Tu krążyliśmy po szlaku wiodącym do Nowego Świata, lecz daremnie. Pewnego dnia rankiem załapała nas mgła tak silna, jakiej nigdy w życiu nie widziałem. Dopiero tryknąwszy łbem w maszt, dowiedziałbyś się kawalerze, że przed nim stoisz. Nie widziałem więc Florjanowego „Overyssel". Wiatr wiał leciutki, ledwo dostrzegalny, a jednak pchał nas powoli przed siebie.

Po pewnym czasie bojąc się, że w tych ciemnościach wjadę między jakoweś galery hiszpańskie, kazałem zwinąć żagle i od tej chwili nieomal w bezruchu trwaliśmy. Mgła był tak gęsta, że światło latarni, które rozwiesiliśmy w nietkórych puntkach deku, było zaledwie z kilku kroków widoczne. Głosy również słychać było jedynie jakby z wielkiej oddali. Mimo to słyszeliśmy pod wieczór coś jakby skrzyp lin i głosy na „Overyssel". Prawie nie spostrzegliśmy, kiedy nastała noc. Wiatr ustał zupełnie. Wilgoć i zimno były tak przykre, że nikt z nas prawie oka nie zmrużył. Większą część nocy spędziłem na grze w kości przy świetle kaganka z moim oficerem Van Bruynem, z zacnej familji amsterdamskiej się wywodzącym. Rankiem wylegliśmy na dek, lecz nic się nie zmieniło. Dopiero koło południa zerwał się gwałtowny wiatr, który w mgnieniu oka poszarpał mgłę na kawały, zmiął, zdusił i uniósł wgórę.

Widok był cudowny i pewno podziwialibyśmy go długo, gdyby nam kawalerze nagle serca kołkiem w piersiach nie stanęły! Z „Overyssel" ani śladu, natomiast o pół strzału armatniego od „Brielle" stała pod rozwiniętemi żaglami, z przygotowanym do strzału podwójnym szeregiem dział wspaniała fregata. Na dziobie złocił się napis „Don Carlos", na maszcie powiewała bandera hiszpańska. Tu prawdopodobnie było źródło onych odgłosów, któreśmy mylnie przypisywali Florjanowemu brygowi. I oni nas musieli słyszeć, nie wiedząc jednak, z kim mają do czynienia, a nie mogąc się z braku wiatru usunąć, przygotowali się do boju. Nim ochłonęliśmy z nieoczekiwanego wrażenia, Hiszpan, oceniwszy znać wprawnem okiem żeglarza z kształtów „Brielle" lub może odczytawszy zatarty napis, do jakiej należymy narodowości, plunął nam w oczy najpierw z jednej baterji, potem z drugiej. Dym przesłonił cały kadłub fregaty, łoskot wstrząsnął powietrzem i równocześnie prawie runął nam na dek szczyt przedniego masztu. Z pod kupy odłamków drzewa i kłębowiska poszarpnych lin zaczęły się rozlegać jęki rannych. Opanowałem się szybko i huknąłem: Van Bruyn! Przygotować działa, rozdać ludziom muszkiety! Bosman! Rozwinąć wszystkie żagle i sposobić się do zwrotu! Ludzie byli wyćwiczeni w niejednej już potrzebie, zwijali

się więc sprawnie. Opuszczono te żagle, które ocalały jeszcze, zdjęto pokrywy ze strzelnic dla dział, które zaraz ustawiono należycie, rozdano ludziom broń, wszystko to szybko i dokładnie. Puszkarze stanęli z lontami zapalonemi przy armatach. Rozwinięcie naszej bandery powitała załoga magno clamore. Tymczasem silny wiatr dmąc w rozpostarte ożaglowanie fregaty, oddalił ją od nas. Wykonaliśmy zwrot, chcąc ujść przed znacznie silniejszym i lepiej uzbrojonym przeciwnikiem, jednak srodze poturbowany bryk stracił dużo na szybkości i fregata, która zatoczyła łuk, zbliżała się chyżo. Nie pozostało nam nic innego, jak podjąć nierówną walkę.

Z rozpaczą szukałem na horyzoncie żagli „Overyssel", lecz bezskutecznie. Wzniosłem korne supplicium do Najświętszej Panienki o wydobycie nas, walczących o słuszną sprawę z opresji i wyczekawszy, aż Hiszpan zbliżył się dostatecznie, rozkazałem zwrócić się lewym bokiem do niego i dać ognia z wszystkich dział. Bryg zatrząsł się, rozszedł się zapach prochu i dym zasłonił nam na chwilę widok. Gdy opadł, ujrzeliśmy spore cavernas w kadłubie wroga. Zatoczyliśmy łuk, by poprawić z prawej baterji, ale nim pozbawiona swej zwykłej zwrotności „Brielle" wykonała manewr, grad pocisków spadł na nas. Złamany bukszpryt zwisł żałośnie nad wodą, dek pokrył się znowu odłamkami reji i płótnem żaglowem. Sporo też ludzi postradałem. Fregata z rozpędu minęła nas tak blisko, że wyraźnie widzieliśmy wąsate twarze pod żelaznemi hełmami. Nie omieszkaliśmy gruchnąć w nich całą baterją, a równocześnie oba deki zadymiły od palby muszkietowej. Odległość między statkami szybko wzrosła, fregata zatoczyła zgrabnie łuk na prawą burtę, a z nią równolegle „Brielle" tak, że przeciwnik znalazł się po lewej naszej burcie. Znów zakomenderowałem: ognia! — a w moment później i nieprzyjaciel rzygnął ogniem i żelazem. Tym razem rozbił mi dwie z czterech największych armat. Strata to była ciężka, bo inne działa nie niosły tak daleko, jak ich. Dek przedstawiał się strasznie. Między strzaskanemi burtami wznosiły się stosy szczątków masztu, deski, splątane liny, poszarpane żagle, zabici i ranni. Zaczęły się pokazywać miejscami płomienie, lecz tłumiono je zaraz przygotowanemi mokremi płachtami. Raz jeszcze zwróciliśmy się prawą burtą do przeciwnika, lecz następna salwa strzaskała nam ster. Byliśmy unieruchomieni. Nieprzyjaciel to spostrzegł, gdyż usłyszeliśmy okrzyki triumfu. Od tej chwili byliśmy zdani zupełnie na ich łaskę. Na smutny szczątek brygu leciał istny deszcz pocisków Jedna po drugiej milkły armaty u prawej burty. Próbowaliśmy przesunąć tamte od przeciwległej burty, lecz wszelkie wysiłki wobec zawalenia deku szczątkami były daremne. Nikt z nas jednak o poddaniu się nie myślał, tak wielka była w nas zawziętość contra inimicos. Nagle Van Bruyn, który był zeszedł pod dek, wybiegł z okrzykiem: — „Wasza Miłość! Poniżej linji wody dziury! Kazałem zatkać, jak się dało, ale to nie strzyma długo. Toniemy!" Wszystko jest w ręku Opatrzności! — rzekłem mu i jąłem się cicho modlić. Nieoczekiwanie palba umilkła. Spojrzeliśmy. Fregata zbliżała się do nas wolno. Słońce odbijało się na hełmach i pancerzach, nad którėmi wznosił się las osęków i haków.

Zdumieliśmy! Inimicus, który mógł nas już bez straty i jednego nawet człowieka ostatecznie pognębić, chciał się zczepić z „Brielle". Znać rycerskim duchem excitatus chciał nam w walce na białą broń zadać cios ostatni Zaświtała mi w głowie myśl o chwalebnej śmierci społem z Hiszpanem. Jeśli zczepimy „Brielle" mocno z fregatą, to może pociągnie ona ją za sobą w odmęty. Wydałem rozkazy i część ludzi uzbroiła się we wszystko, co się nadawało do ziszczenia mego planu. Statki były już blisko siebie i na obu wykwitły niebieskawe dymki z muszkietów. Stojący przy mnie miles cicho osunął się na kolana, a potem uderzył głową o deski deku i nie drgnął więcej. W tej chwili burta uderzyła o burtę i zostały natychmiast zczepione, spętane, jakby stanowiły jedną, nierozdzielną całość. W mgnieniu oka zaroiło się na „Brielle" od skaczących z góry Hiszpanów. Zmięszaliśmy się ze sobą i rozpoczęła się straszliwa rzeź. Szczęk krzyżujących się rapierów, zgrzyt siekier i dudnienie młotów o pancerze i hełmy splatał się z ciężkim, głośnym oddechem walczących, jękiem rannych i charczeniem konających. Mdły vapor krwi mięszał się z ostrą wonią potu. Siekłem na prawo i lewo z zaciekłością człowieka, który chce drogo sprzedać swe życie. Górowałem nad nimi raz, że miam wielką peritiam w walce wręcz, drugi, że znałem ich modus walczenia, rapierami, a oni nie znali moich młyńców i cięć zakrzywioną na wschodnią manjerę szablą. Jednak nec Hercules contra plures — otrzymałem tęgi cios w głowę i gdyby nie misiurka z przedniej stali, nie mógłbym teraz z waszmością miodek pić. Zamroczyło mię jednak i ręka omdlała, ale zacny Van Bruyn osłonił mię swą osobą. Ocknąłem się z oszołomienia szybko i podjąłem walkę dalej.

Nagle zadrżał nam dek pod nogami i „Brielle" pochyliła się, ciągnąc za sobą „Don Carlosa". Hiszpanie zawahali się. Jakowyś oficer jął krzyczeć:

— Wracać! Wracać! Statek tonie!

Radość ogarnęła mnie, że uda się com zamyślił.

— Naprzód! — ryknąłem. — Za nimi! Nie dać im się rozczepić!

Istne theatrum się rozpoczęło. Zwycięzcy w popłochu darli się jeden przez drugiego na górę a pokonani za nimi, siekąc, kłując co sił w garściach. Nie wiem, jak się znalazłem na deku fregaty. Cięliśmy się z Hiszpanami, chcąc im przeszkodzić w oswobodzeniu się od tonącego brygu. „Don Carlos" nie pogrążał się jednak już bardziej, uspokoili się więc i natarli na nas z tem większą wściekłością. Na ostro nachylonym deku ślizgali się jedni i drudzy, ręce mdlały, tchu nie można było złapać, trup padał gęsto. Przyparli nas do burty i rąbali. Czułem, że i pacierza dłużej nie zdzierżymy! Westchnąłem do Matki Najświętszej i ująwszy oburącz szablę ciąłem po głowach, twarzach i ramionach ostatkiem sił. Wtem w ciżbie Hiszpanów powstał od prawej burty jakowyś tumult. Spojrzałem i omal mi serce gardłem nie wyskoczyło! Od tej strony szerokimi zamachami szabli rąbał sobie przejście olbrzymi pan Florjan, a za nim cisnęli się jego ludzie. Podobny był i z postawy i z gęby do waści. Gładysz to był! Cośby o tem niderlandzkie białogłowy rzec mogły, he, he! Tylko waszmość o sobie z racji onego podobieństwa zbytnio nie bądź dufny, bo to młodemu nie przystoi. Ale gdzie to ja skończyłem? Acha! Otóż ujrzałem Florjana, ujrzeli go i moi i inimici. Ci potracili głowy, nie wiedząc, skądby mógł ten olbrzym na czele takiej potencji w sukurs nam przyjść. Po prawdzie to i ja nie wiedziałem. Nim się ocknęli, Florjanowi ludzie runęli na nich jak burza, a i my nie zostaliśmy wtyle, lecz z nowemi siłami i radością w sercu natarliśmy. Nikt już nie wątpił, że victoria jest przy nas.

Hiszpanie walczyli bez wiary w możliwość sukcesu, z determinacją, ale i męstwem godnem takich żołnierzy. Florjan przerąbał się do mnie, podziękowałem mu spojrzeniem, bo nie czas i nie miejsce było na inne podziękowanie. Błysnął mi zębcami w uśmiechu wraz rąbnął na odlew przez smagłą gębę jakowegoś oficera, który nam drogę zabieżał. Walczyliśmy odtąd ramię przy ramieniu. Nasi ludzie rozbili inimicos na grupy i wycinali w pień, żaden bowiem pardonu nie prosił. Pod głównym masztem, z którego powiewała bandera, stali skupieni czterej oficerowie hiszpańscy i zaciekle odcinali się grupie żołnierzy. Musiała to być zacnej krwie szlachta, czyli grandy, jak się w swym paskudnym języku zwą, z taką bowiem kawalerską fantazją walczyli. Odsunęliśmy pachołków i mówiąc po łacinie, żeśmy są szlachta, wezwaliśmy ich do zdania się nam na łaskę. Najstarszy z nich pogardliwie machnął ręką i natarł na mnie. Ostrze rapiera ześlizgnęło się po guzie — nowy dowód opieki Najświętszej Panienki! — i tylko bok mi rozorało. Poczęliśmy się ciąć z nimi. Jeden z nich przebił gardło zacnemu Van Bruynowi, który okrutnie rzężąc, zwalił się na deski deku. Wściekłość mię ogarnęła i jednem cięciem odrąbałem zabójcy ramię dzierżące rapier. I pacierz nie minął, a leżeli wszyscy zrąbani. Na całym deku walka ustała, bo nie było już z kim walczyć. Victoria była kompletna. Z wysiłku oddechu nie mogliśmy złapać, pot ściekał, mięszając się z krwią. Uścisnąłem Florjana bez słowa, a on resztki powietrza ze mnie wyparł. Trzeba było jednak co rychlej zająć się odczepieniem „Briele", bo istotnie coraz mocniej nas ciągnęła wdół. Przenieśliśmy duchem rannych na „Don Carlosa" i siekierami odczepiliśmy bryg.

Szybko odpłynęliśmy trochę od tonącego statku, by uniknąć wiru. Ze łzami w oczach patrzyłem, jak „Brielle", na której tyle chwalebnych czynów dokonałem i tyle ciężkich momentów przeżyłem, nie podtrzymywana już przez fregatę coraz szybciej zanurzała się w falach oceanu, grzebiąc z sobą ciała niedawnych wrogów w jednym grobie! Obliczyliśmy teraz straty — z moich ludzi tylko garstka została przy życiu, Florjan utracił zaledwie kilku. Wreszcie mógł mi powiedzieć, skąd się tak w porę zjawił. Otóż nie zwinął on we mgle ut ego feci, żagli, lecz płynął, jak długo wiatr go pchał. Gdy ranny wiatr rozegnał mgły, zobaczył, że mnie niema i postanowił czekać, aże się zjawię. Wkrótce jednak usłyszał palbę armatnią. Zaraz intellexit, że to ja z kimś walczę, pośpieszył więc, jak mógł najszybciej w kierunku strzałów. Zoczył nas w chwili, gdy Hiszpan gotował się do sczepienia z nami. Fregata zasłaniała mu „Brielle" i dlatego i myśmy go nie widzieli, a Hiszpanie tylko na nas patrzyli, bo nie przypuszczali, że drugi niderlandzki statek jest w pobliżu. Pomyślał zaraz, że większą odda nam przysługę, atakując wroga białą bronią na jego własnym statku, niż strzelając doń zdaleka i nie mieszkając, podpłynął niepostrzeżony do fregaty. We wszystkiem tem, jak to waszmość sam snadnie osądzić możesz, widoma była szczególna opieka Bożej Rodzicielki, przeto też obaj upadłszy na kolana, długo dziękowaliśmy Jej żarliwie. Nazajutrz naprawiliśmy jako się dało "Don Carlosa", zmieniliśmy jego nomen na „Brielle" na pamiątkę mego brygu i czule się pożegnawszy, rozjechaliśmy się — on nadal czyhać na wroga, ja do Niderlandów uzupełnić załogę i oporządzić fregatę. Tak waszmość, nieraz jeszcze byłem w boju, ale nigdy w tak ostatecznej opresji jak wonczas. Ale to ci mówię kawalerze, kto raz morskiego procederu zazna, nie rzuci go już nawet z najgorszych tarapatów wyszedłszy. A Polacy są do niego tak samo sposobni, jak i do ścinania się z Tatarem czy Moskalem na wschodnich granicach, tylko nie zdają sobie z tego sprawy. Ale może teraz da Bóg, zmieni się duch w narodzie, jeśli Najmiłościwszy nasz Pan zechce dochodzić swych praw do korony szwedzkiej, a zarazem pomścić na zdrajcy Sudermańczyku zeszłoroczną porażkę pod Linkoeping i wystawi zaczną armatę wodną, naszą własną, polską! Wtedy może i moje stare ręce na coś się jeszcze zdadzą! Żeby był Florjan nie poległ, tobyśmy społem znacznie się jeszcze przysłużyli.

LAMA PRZEBOJEM ZIMOWEGO SEZONU



Tegoroczna moda kocha się w wyrafinowanym luksusie i przepychu: futro, aksamit i lama, to jej zasadnicze elementy. Szczególnie ta ostatnia odpowiada doskonale stylowi mody zimowej, dlatego też przeżywa ona w tym sezonie prawdziwy renesans. Wielkie firmy tkackie rzuciły na rynek całe serje nowych odmian lamy i brokatów, doskonałych pod względem technicznym, a przytem urozmaiconych w nieskończoność. Obok gładkich lam o niespotykanej dotychczas miękkości i szlachetności połysku, układających się w piękne draperje — widzimy lamy plastyczne, tzw. „façonnées", tłoczone w wypukłe pasy, kratki, romby itp. Fabrykanci sięgnęli do starych wzorów, tworząc barwne lamy o spatynowanym szlachetnym kolorycie i subtelnym rysunku starych ornatów i kościelnych kap. Bogactwo tych kolekcyj jest imponujące, a gatunek tegorocznych lam pozwala na nieograniczone ich zastosowanie, i to nietylko w związku z reprezentacyjną modą wieczorową, lecz i na popołudniu.

Zanotujmy najoryginalniejsze zastosowania lamy:

Balowa tualeta złożona z obcisłego spodu z gładkiej lamy złotej lub srebrnej, pokryta całkowicie bogato marszczonym czarnym tiulem.

Suknia wieczorowa z czarnej koronki Chantilly, aplikowanej na złotej lamie.

Wieczorowy trzyczęściowy kostjum, złożony z długiej spódnicy i żakiecika z aksamitu „rouge grenat", oraz z kamizelki ze złotej lamy, stębnowanej jedwabiem w kolorze kostjumu.

Wieczorowa suknia, czarna, aksamitna z długiemi rękawami, z odstającą kloszową baskiną, obszytą szerokim pasem sztywnej, do metalowej blachy podobnej złotej lamy.

Gładka suknia z matowego czarnego jedwabiu, ozdobiona na ramionach aplikowaną girlandą liści z srebrno-złotej mieniącej lamy.

Popołudniowy kostjum z aksamitu „vert armure", ozdobiony kieszeniami i kamizelką z wzorzystej lamy w odcieniu zielonym, złotym i bronzowym.

Na lewo: Wieczorowa suknia z wzorzystej, srebrnozłotej lamy, kołnierz i zarękawek z dwubarwnego aksamitu.

Wieczorowe płaszcze z ciemnego aksamitu, całe podszyte wzorzystą lamą.

Do tualety w stylu „empire" z drobno plisowanej gazy, szeroki pas z lamy, naszytej kolorowemi kamieniami, z ozdobną klamrą na wzór biżuterji antycznej.

Do skromnych popołudniowych sukien z matowych jedwabi, mały kołnierzyk i mankiecki z drobno plisowanej lamy złotej lub srebrnej.

Do kostjumów aksamitnych, przybranych srebrnemi lisami, bluzki z wzorzystej lamy w spatynowanych pastelowych odcieniach.



Tualeta balowa z wytłaczanej złotej lamy, kombinowanej z białą gazą.

Długie, obcisłe, z boków rozcięte tuniki z bogatej lamy wytłaczanej, noszone do czarnej spódnicy aksamitnej lub jedwabnej, sięgającej do kostek.

Do teatru czy na kolację w modnej restauracji, małe toczki lub czapeczki z lamy, z narzuconą wzorzystą czarną woalką, spadającą aż na ramiona.

Wąziutkie wypustki z lamy przy popołudniowych ciemnych sukniach.

Torebki wieczorowe z czarnozłotej lamy, silnie marszczone i oprawne w cyzelowane złoto.

Gazowa suknia balowa w kolorze „violine", aplikowana w kwiatowe motywy, wycięte z wzorzystego brokatu.

Wieczorowe sandałki z lamy złotej, sznurowane złotą wstążką powyżej kostki, z ozdobną klamrą na skrzyżowaniu.

Suknia z czarnego tiulu, naszyta w poprzek pasami złotej lamy, coraz szerszemi ku dołowi szerokiej spódnicy.

Kwiaty z lamy lub wzorzystego brokatu przy sukniach wieczorowych, lub w klapie popołudniowego kostjumu.

Renwersy i wysokie mankiety z grubej, wytłaczanej lamy przy wieczorowym czarnym kostjumie.

Szaliki, noszone do futra czy popołudniowego kostjumu z aksamitu „violine" czy „rouge grenat", podszyte miękką barwną lamą.

Zarękawki z marszczonej lamy do wieczorowych gazowych czy tiulowych tualet.

Strojna pidżama złożona z męskich, w kant zaprasowanych czarnych aksamitnych spodni, i kurtki ze złotej lamy z męskiemi kieszeniami.

Lama jest dziś bezsprzecznie przebojem sezonu. A że, jak żaden inny materjał, zdobi kobietę i podkreśla jej urodę, przyjęła się wszechstronnie i stosowaną bywa w najrozmaitszych zestawieniach.

Lady Like.



Poranna gimnastyka





Siedząc, pochylamy się wprzód i powoli zwracamy ciało to w lewo, to w prawo... (ćwiczy: Ann Sheridan).

Jest rzeczą ogólnie znaną — zwłaszcza obserwatorom i miłośnikom sztuki choreograficznej — że tancerki opierają przeważnie wysiłek nóg przy szpagatach, piruetach itd. na muskułach ud i mięśni biodrowych. Takie nasilenie muskułów w okolicy miednicy sprawia, że rozrastają się i deformują łydki, uda, a przedewszystkim partje dokoła miednicy, przez co zagłębienie w krzyżach przybiera szpecącą linję. Ponadto bardzo wiele kobiet ma z natury tak zwane zapadłe krzyże, zniekształcające profil sylwety, a co ważniejsze, bardzo szkodliwe dla kobiety jako przyszłej matki. Pragnąc temu zaradzić, należy pilnie i konsekwentnie wykonywać szereg ćwiczeń gimnastycznych, które mają na celu usunięcie wspomnianego błędu budowy.

Ćwiczenie XXV.

Przypominamy, że jedna z poprzednich lekcyj naszej gimnastyki była całkowicie poświęcona wyprostowaniu zapadłych krzyżów. Obecnie dajemy kilka wskazówek, mających również na celu poprawę budowy w tym kierunku, aby profil sylwety od strony pleców miał modną, prostą linję.

Znana z urody artystka filmowa Ann Sheridan odbywa każdego dnia wczesnym rankiem konsekwentny trening, zmierzający do uelastycznienia linji grzbietu. Jak to widzimy na ilustracji, pierwsza pozycja nie wydaje się trudna. Należy usiąść na podłodze, wyprężyć mocno nogi, pochylić naprzód i zwracać ciało w lewo i prawo, potem przeginać się, aby naprzemian dotknąć czubkami palców dłoni palców u nóg to lewą, to prawą ręką, przyczem drugie ramię ma być wyprężone w przeciwnym kierunku.

Druga pozycja jest nieco trudniejsza. Kładziemy się na podłodze, opieramy się siłą ramion i stóp w ten sposób, aby wznieść w górę część tułowia od piersi, przyczem kolana mają być ugięte pod kątem prostym. Dla ułatwienia opieramy się łokciami na podłodze, podpierając krzyże dłońmi. Ćwiczenie to powtarzamy początkowo kilka, w dalszym ciągu treningu kilkanaście razy, przyczem wznosimy naprzemian nogi w górę ruchem powolnym i potem opuszczamy je.

Leżąc, podpieramy biodro rękami i powoli wznosimy naprzemian jedną i drugą nogę w górę... (ćwiczy: Ann Sheridan).

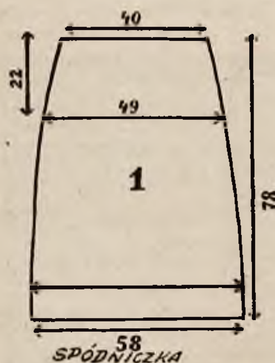
KOSTJUM SPORTOWY Z WŁÓCZKI

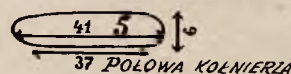
W nawiązaniu do naszego artykułu o ręcznie robionych na drutach kostjumach z włóczki, podamy w 2 kolejnych odcinkach opisy pięknych i praktycznych kostjumów tak, aby Panie mogły sobie wybrać najodpowiedniejszy fason. Kostjum, reprodukowany na rycinie, odznacza się skromnym i eleganckim krojem oraz bardzo łatwym ściegiem, którego prostota służy do uwydatnienia fantazyjnego skrętu włóczki. Kostjum ten można wykonać z włóczki „Trójkąta w Kole", „Sto Kropek", albo z włóczki „Luksusowej" z dodatkiem „Liry" albo „Oriona", biorąc w tym wypadku po jednej nitce z jednej i drugiej włóczki. Przerabiamy na drutach nr 2,5 naprzemian 1 rząd z oczek prawych, 1 z oczek lewych (ścieg jersej). Lewa strona ściegu stanowi prawą stronę roboty. Aby ścieg ładnie wyglądał, dobrze jest do przerabiania prawego rzędu użyć cokolwiek grubszego drutu, niż do przerabiania lewego. Można zamiast grubszego drutu, użyć drutu galalitowego, a jako cieńszego drutu metalowego z tem, żeby były obydwa tej samej grubości. Na drucie galalitowym nie da się tak mocno ściągnąć nitki i efekt uzyskamy ten sam. Wykonujemy wszystkie części wg. podanego kroju, przeznaczonego na obwód klatki piersiowej, wynoszący 92 cm. Liczby na kroju oznaczają wymiary w cm

Spódnicę wykonać w 2 jednakowych częściach wg. kroju, zaczynając je od dołu Z boków nadajemy formę ujmowaniem. Gotowe części zaszywamy z boków, pozostawiając po lewej stronie 8 cm wolne na zapięcie. Brzegi te wykończamy listewkami z półsłupków, szerokiemi po 1,5 cm. Wierzchnią listewkę zakładamy w spód i podszywamy, na spodniej przyszywamy zatrzaski. W pasie wszywamy spodnicę w gurt, marszcząc ją nieco i zapinamy na haftki.

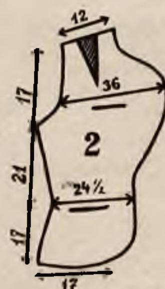
Sportowy kostjum z włóczki jest równie elegancki jak i praktyczny. *Fot. Imre von Santho.*

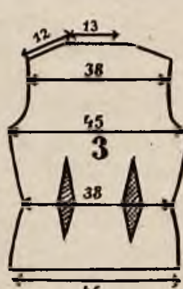
Na lewo: Schemat kroju spódniczki i żakietu, pomocny przy robocie kostjumu.

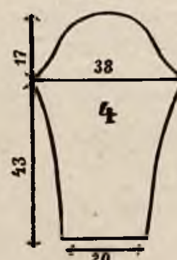




ŻAKIET







U dołu obrębiamy spodnicę na cm w spód i całą dobrze rozprasowujemy na wilgotno. Przody i plecy żakiecika zaczynamy również od dołu. Na otwory na kieszenie zakończamy oczka na odpowiedniej przestrzeni (na dolne kieszenie po 12, na górne po 8 cm) a w następnym rzędzie włączamy na to miejsce tylne ściany kieszeni

Na kieszenie dolne robimy prostokąty szerokie po 12, wysokie po 15 cm, na górne szerokie po 8, wysokie po 6 cm. Na górnych brzegach nie zakończamy oczek, tylko odrazu przerabiamy na nich dalej przody, po włączeniu kieszeni. Dolny brzeg otworów na kieszenie wykończamy 2-ma rzędami półsłupków i obrębiamy w spód. Na klapy dodajemy z przednich brzegów. Podłożenia pod przody wykonujemy wg kroju przodów do linij zakreskowanych.

Na kołnierz wykonujemy 2 części wg. kroju nr. 4, który przedstawia połowę kołnierza. Obie części kołnierza zeszywamy z sobą od lewej strony, następnie odwracamy i przestebnujemy na 1 cm od brzegu. Podłożenia pod klapy przyszywamy również tak, aby prawe strony roboty leżały na sobie, odwracamy podszycia i podszywamy pod przody niewidocznemi ściegami Kto chce, aby kostjum nie wyciągał się, może dać podszewkę, wykonać wg. zakreskowania wszytki na przodach i plecach, a przedewszystkiem zeszyć cały żakiecik na maszynie. Brzegi żakietu przestebnujemy, jak kołnierz.

Rękawy zaczynamy od góry, nadajemy formę, ujmując z brzegów i po osiągnięciu całej długości, odwracamy robotę tak, aby dotychczasowa prawa strona stała się lewą i dorabiamy wysoki na 5 cm mankiecik, dodając z brzegów na zakończenie mankiecika, przerabiamy 8 rzędów z samych oczek prawych i zakończamy luźno. Dziurki na guziki na prawym przodzie wykonujemy, zakończając po 4 oczka i nabierając tę samą ilość nowych oczek w następnym rzędzie, w tem samem miejscu. W podłożeniu prawego przodu trzeba także wykonać dziurki, a po zeszyciu obdziergujemy te dziurki, łącząc je w ten sposób. Wszystkie części żakiecika należy doskonale rozprasować. — Rękawy u góry zaszyć w 5 małych wszytek.

Zapinamy kostjum na zamszowe guziki i taki sam pasek. Szalik w kolorze guzików i paska (do bronzowego kostjumu może być zielony, lub terrakota), wykonujemy z „Sybilli", miękkiej włóczki „bouclé", ściągaczką pojedynczą.

Kostjum ten nadaje się szczególnie dobrze na okres przejściowy i może służyć również, jako pierwszy kostjum wiosenny. Potrzeba na niego ok. 1000 g włóczki, przyczem, o ile robimy go z włóczki podwójnej, należy wziąć jej więcej (ok. 1000 g. „Luksusowej" i 300 g „Liry".

Mieczysława Drozdowska.



— A teraz, panno Nixon, wygrał panią jako sekreterkę mister Bidwell!

Na prawo:

— Pozwólcie, że się sam zaanonsuję...

Poniżej:

— Moja żona nie mogła niestety zostać, jest bowiem jedyną osobą, która w rodzinie pracuje!







Z TEGO śmieje się Ameryka!

Niemniej ważnym od literatury przyczynkiem do dziejów kultury ludzkiej jest humor, który ukazuje nam jedną z najciekawszych właściwości naszej duszy. O ile ogólne pojęcie humoru jest w całym świecie prawie jednakowe, o tyle jednak każdy naród celuje w swoich własnych, typowych dowcipach, żartach czy anegdotach. Wielu było autorów, którzy zajęli się „poważnie" tą ciekawą dziedziną, jaką jest dowcip i jego rozliczne gatunki. Pisał o tem m. in. Bergson, wielki filozof francuski. Filozofja humoru, traktowana niejednokrotnie przez takich analityków myśli ludzkiej, jak Chamfort, Molière, La Rochefoucauld, itd. wymaga większej może wnikliwości psychologicznej, niż każda inna dziedzina ducha. Zasadnicze pojęcie rzeczy wesołej — niezgodność opowiadania czy zdarzenia z normalnemi, w życiu obowią-



— Może biegniemy nieco za szybko?

Na lewo:

— Nie płacz synusiu! — Tatuś i mama tylko ślub wezmą i zaraz wrócą do domu.

— Czy panu się nie zdaje, że przegrał pan jak na dzisiejszy wieczór już dosyć?

Poniżej:

— Teraz dopiero mogą panowie wejść do gabinetu dyrektora!





zującemi warunkami — dobiera po drodze biegu myślowego różne dodatki, które z niej czynią odrębny, charakterystyny twór danego narodu czy też autora. Inny jest dowcip Marka Twaina, inny Żółkowskiego, inny znów Rody-Rody lub Tristan Bernarda. Mówimy chętnie, że dowcip niemiecki jest „ciężki" w przeciwstawieniu do „lekkiego" dowcipu francuskiego: ale jakby te rzeczy skonkretyzować, jak je rozróżnić? Łatwo stosunkowo możemy tylko stwierdzić wiek dowcipu: wyczuwamy w nim zależnie od czasu urodzenia charakter chwili. Są też i będą zawsze pewne gatunki dowcipów, kwitnące tylko w pewnej epoce: kalambur, tak lubiany we Francji i w Europie w XVII i XVIII w. (w Polsce stał się on modą w XVIII wieku, chociaż już w „Zwierciadle" Reya znajdujemy różne kalambury, oparte na równoznaczności słów i nazwisk), jest dziś „rara avis" w literaturze i ma niewielu zwolenników. A jednak były czasy, kiedy dobry kalambur tworzył fortuny, torował drogę do zaszczytów, zyskiwał łaskę monarszą i ordery! Dobry kalambur był patentem inteligencji. Taki markiz de Bièvre był we Francji postacią o wielkiej popularności i sławie. Jak zapewniają historycy, jednem z ostatnich słów Ludwika XVIII był kalambur! Nasz wiek przyniósł inne, nowe rodzaje żartów i dowcipów, które po pewnym czasie rozkwitu znów podzielą zapewne los tamtych.

Mówiliśmy o wieku kalamburów i jego narodowości. Weź-

Dokończenie na str. 30-ej





— Jestem przewidująca może dlatego, że to nowość.

RYSUNKI: »ESQUIRE«

Na lewo:

Zamierzam moją energię „zbudżetować" z mr. Hansem i mr. Billingsem!

Poniżej:

— Jeżeli pan jedzie tylko do Waszyngtonu, to niema o czem gadać!



Dokończenie z str. 29-tej.

my do ręki mały, sympatycznie w żółtą tekturę oprawny tomik „Momusa“, wydanego w Krakowie w r. 1836 przez Alojzego Żółtowskiego, który swego czasu, ba, do dnia dzisiejszego cieszył się sławą najdowcipniejszego człowieka w Polsce. Znajdziemy tam fraszki, anegdoty, kalambury, jednem słowem wszystkie gatunki humoru. Weźmy dla przykładu pierwszy lepszy żart: „Dawniej Polacy mieli głowy golone, a teraz kieszenie“, lub: „Niech sobie będzie most zwodzony, byle drugich nie zwodził“, albo znów: „Musi być Galicja stara, bo Brody ma“. A teraz zobaczmy, jakie kalambury bawiły ludzi w r. 1836: „Kura torem dotąd chodzi“, lub „Na broni sławie mogiła“, „Pierś cień tylko zostawiła“ itd. Choćby z tych kilku przykładów możemy skonstatować, że dowcipy ówczesne są dla naszego poczucia humoru... chińszczyzną! Poprostu nie śmiejemy się, choć rozumiemy, o co chodzi. Przyznać trzeba, że żarty z przed stu lat np. francuskie są bardziej zrozumiałe i dzisiaj, może dlatego, że są one raczej złośliwe, jak dowcipne, ale złośliwość chyba jest niezależna od czasu!

Gdy się zastanowimy nad charakterem narodowym żartów, to łatwo możemy stwierdzić fakt, że zależnie od usposobienia każdy z tych gatunków inne ma pole popisu. Dowcipy francuskie kręcą się zazwyczaj około kobiety i jej spraw, o ile nie są polityczne, niemieckie koło spraw życiowych, zagadnień dnia itd., angielskie mają oblicze niewinne, trochę naiwne, a siła ich polega na ich prostocie, a również i one czerpią swe soki z dnia bieżącego, z małych zdarzeń, obserwowanych przez każdego z nas. Rosyjskie dowcipy przedwojenne brały często swój początek z Kaukazu i jako dowcipy ormiańskie obiegały całe imperjum. Podobnie, jak w Warszawie Kaftalowi, w Wiedniu pani Pollak, w Anglji Szkotom, w Niemczech teściowej czy naiwnemu p. Mayerowi, tak w Rosji przypisywano je Ormianom, znanym z dosyć opacznego sposobu myślenia i dziwnej logiki. Dowcip amerykański obraca się w sferze szarej masy ludzi, opiera się również o wydarzenia dnia i raczej podpatruje śmiesznostki ludzkie.

Postarajmy się zilustrować charakter narodowy humoru: jest to rzecz bardzo trudna i ogromnie finezyjna, ale ostatecznie możliwa. Oto typowy francuski kawał: marszałek Mac Mahon przechodzi przed frontem kompanji jakiegoś pułku i zauważa, że jest tam jeden murzyn. Podchodzi do niego i pyta się: — Jesteś murzynem? Żołnierz odpowiada: — Tak, panie marszałku! Na to Mac Mahon rzecze: — To bądź nim nadal! (Eh bien, continuez!). Żart ten polega poprostu na powiedzonku, na sposobie wyrażania się, na tak typowej dla Francuzów swoistej „tournure de phrase“. A teraz dowcip niemiecki: Pewien pasażer samolotu pyta się lotnika, dlaczego tak wolno lecą. Lotnik na to: — Wjechaliśmy proszę pana na drogę mleczną i śmigło jest oblepione masłem, co nam tak utrudnia drogę! A teraz dla odmiany kawał angielski: Do gospodyni domu zgłasza się pewien zmarznięty żebrak. — Możeby mi pani coś dała na rozgrzewkę! Na to odpowiada gospodyni: — Mogę spuścić z łańcucha mojego psa podwórzowego!

Skoro tym razem mamy się zająć głównie dowcipem amerykańskim, będącym odmianą humoru anglosaskiego, zaznaczmy, że brak w nim zupełnie tak lubianego w francuskim humorze gry słów, kalamburów, a „clou“ jego tkwi w wyszydzaniu ludzkiej naiwności sposobami dosyć prostemi. Jak zobaczymy z żartów, z których śmieje się Ameryka, a wyjętych z magazynu „Esquire“, niektóre tylko z nich zdołają i nas rozśmieszyć, ludzi innego kontynentu, innej metalności, innej czułości duchowej i psychicznej. Są wśród nich takie, które są zbyt specjalne, abyśmy je odpowiednio odczuwali. Jakkolwiek tematy żartów amerykańskich są mniej więcej te same, co w innych krajach, to jednak przeważają w nich ulubieni bohaterowie, a mianowicie: bawiący się światek plutokracji wielkomiejskiej, typy „plażowe“, artyście filmowi i sceniczni i przeciętne postacie z szarego życ.a. Chcąc scharakteryzować ten humor, moglibyśmy go nazwać zdrowym, nieco prostym i nie wybiegającym bynajmniej w jakieś abstrakcyjne strefy.

Jan Maleszewski.

—o—

Dokończenie z str. 5-tej.

ską śmiercią podczas doświadczeń alchemików. Często umieszczali oni biedne zwierzęta w zamkniętych rurach i podgrzewali, oblewając różnemi substancjami. Nie miały być te doświadczenia bezpieczne, bo gazy, wydobywające się z tego tajemniczego zwierzęcia, mogły zaszkodzić a nawet śmierć przynieść odważnemu badaczowi.

Wiele z tych wierzeń przetrwało aż do czasów współczesnych i nieraz w Karpatach czy na Podkarpaciu, gdzie żyje salamandra, napotkać można pastuchów, którzy żywe salamandry wrzucają do ognia, by przekonać się, czy w ten sposób zostanie on ugaszony. Naturalnie nieszczęśliwe zwierzęta giną w strasznych męczarniach.

Salamandra jest zwierzęciem nocnem. — W dzień wychodzi z kryjówek tylko w czasie deszczu. Promienie słońca i upał są dla niej zabójcze, wskutek nadmiernej utraty wilgoci ciała. Salamandra porusza się powoli i niezgrabnie. Również i w wodzie nie umie szybko pływać. W wodzie przebywa tylko na wiosnę, gdy samica rodzi młode. Na miejsce pobytu swych młodych wybierają samice przeważnie czyste i zimne wody źródlane. W jesieni wyszukują sobie osłonięte i pokryte darnią lub mchem kryjówki.

Pożywienie salamander stanowią ślimaki, robaki i owady, stąd też są one zwierzętami pożytecznemi i powinno się je chronić przed bezmyślnem tępieniem. Przed nieprzyjaciółmi chroni salamandrę jej jaskrawa barwa, będąca rodzajem barwy odstraszającej, oraz gruczoły z piekącą wydzieliną.

Egzotycznym krewniakiem naszej salamandry jest salamandra olbrzymia, dochodząca do $1\frac{1}{2}$ metra długości. Żyje ona jedynie w Japonji, na wyspie Nippon. Przebywa tam w górskich strumieniach, położonych na znacznych wysokościach nad poziomem morza.

Blisko spokrewnioną formą z tym gatunkiem był sławny kopalny jaszczur, pochodzący z okresu plioceńskiego. Został on opisany przez szwajcarskiego przyrodnika J. Scheuchzera z pierwszej połowy XVIII wieku, jako jeden z tych ludzi przedpotopowych, którzy za grzechy zginęli w czasie potopu. Gatunek ten został nawet nazwany przez niego „Homo diluvii testis“ — świadek potopu. Później dopiero przekonano się, że odkopane szczątki należą do olbrzymiej kopalnej salamandry, którą dla pamięci tego przprodnika oznaczono nazwą „Andrias Scheuchzeri“.

Dr Z. M.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA JABŁECZNA. 30 dkg jabłek pokrajanych drobno wraz z łupką nalewa się zimną wodą tak, aby były przykryte i dodaje kawałek cynamonu i skórki cytrynowej i stawia na ogniu do gotowania. Po rozgotowaniu się jabłek fasuje się je przez sito, przelewając wodą, w której się gotowały. Przygotowany w ten sposób sok na zupę zagotowuje się, zasypuje dwoma łyżkami saga i gotuje aż sago nabierze przeźroczystości, poczem nadaje się smak cukrem ,szczyptą soli i ewentualnie sokiem cytrynowym. Słodkie grzaneczki jako dodatek.

BULJON POSILAJĄCY DLA CHORYCH. (Z kuchni dietetycznej). 1 kg polędwicy oczyszcza się dokładnie z tłuszczu i kraje w drobną kostkę. Mięso wkłada się do litrowego słoja, nalewa pół litra zimnej wody, owiązuje szczelnie pęcherzem, owija papierami lub sianem, wstawia do większego garnka z zimną wodą i gotuje 3—4 godzin. Słój otwiera się dopiero po ostudzeniu, zlewa buljon i wyciska mięso. Buljon podaje się choremu ogrzany lub zimny, troszkę posolony. O ile chorego razi mętny wygląd buljonu, można go oczyścić przez zagotowanie z roztłuczonem w niem białkiem 1—2 jajek i następnie przecedzić przez płótno.

OMLETY BRETOŃSKIE. Pół kg szpinaku obranego gotuje się w małej ilości wody, następnie odcedza i sieka lub miele z ząbkiem roztartego czosnku. Na łyżce oliwy smaży się łyżeczkę mąki, dodaje zmielony szpinak, podsmaż i ostudza. 4 jaja rozkłuca się z 4 łyżkami mleka, dodaje szpinak, troszkę soli i szczyptę białego pieprzu. Z dobrze wymięszanej masy wysmaża się na małej patelce omleciki. Podaje się je bardzo gorące. Osobno zielona sałata zaprawiona sosem majonezowym.

BAŻANT powinien po odstrzale wisieć na powietrzu przez 3—4 dni, aby skruszał. Chcąc go podać z przybraniem, należy szyję wraz z głową ściągnąć tak, aby się piórka nie poplamiły i odłożyć w chłodne miejsce. Również skrzydła i ogon należy zachować. Całego ptaka po wypatroszeniu, oskubaniu i osmaleniu, wymywa się w kilku wodach, obsusza, szpikuje gęsto słoniną i soli z wszytkich stron, poczem się go piecze na brytwance, przy częstem polewaniu, uważając, aby się równomiernie rumienił.

Upieczonego bażanta kraje się w części i układa na podstawie wykrojonej z chleba tak, aby tworzył całość. Szyję i skrzydła oraz pióra ogona wymyte i osuszone nad ogniem, nakłada się na odpowiednio wygięty drut i przymocowuje w odpowiednich miejscach do podstawy chlebowej. Sos z pod pieczystego podaje się osobno w sosjerce.

RYBA W SOSIE POMIDOROWYM. Jakąkolwiek rybę lub kilka mniejszych oczyścić i ugotować w smalcu z jarzyn. Ugotowane obiera się ostrożnie z ości, przekroiwszy je naprzód wzdłuż przez pół. Oczyszczone połówki układa się na natartem masłem ogniotrwałym półmisku, polewa gęstym sosem pomidorowym, posypuje tartą bułeczką, kropi masłem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Rybę podaje się na tem samem półmisku, otoczoną ryżem lub makaronem.

BUDYŃ Z JABŁEK. 20 dkg mączki cukrowej i 4 żółtka uciera się przez kwadrans, następnie dodaje się 5 dkg rodzynek, pół łyżeczki cynamonu, łyżkę konfitur ze skórek pomarańczowych, pół kg jabłek kruchych, cienko pokrajanych i skropionych kieliszkiem rumu. Wkońcu dodaje się pianę z 4 białek i 4 łyżki tartej bułki przesianej. Formę budyniową naciera się dokładnie masłem i wykłada sórką pomarańczową ozdobnie wykrojona, nakłada masę jabłeczną i gotuje na parze przez godzinę. Budyń podaje się polany rozgotowaną marmoladą morelową.

ZIEMNIAKI PO SŁOWACKU. Pół kg ziemniaków gotuje się w słonej wodzie z pęczkiem zielonej pietruszki i koperku. Ugotowane odcedza się z wody i pozostawia przez chwilę szczelnie nakryte poczem przeciska się je maszynką lub ubija łyżką na gładką masę, dodaje 10—15 dkg bryndzy, szczyptę pieprzu oraz łyżkę masła i uciera dokładnie. Łyżką umaczaną w maśle wykłada się ziemniaczki na półmisek i polewa rumianem masłem dla amatorów z cebulką. Ziemniaczki takie nadają się doskonale jako dodatek do jarskich kotletów, szpinaku lub jako danie dla siebie z bitą kwaśną śmietaną. Również zawijane w naleśniki, następnie osmażane, smakują znakomicie.

NOWOCZESNE ZDROWOTNE ŚNIADANIA WEDŁUG HIGJENISTY DRA BIRCHERA. (1 porcja). Łyżkę płatków owsianych zalewa się trzema łyżkami zimnej wody i pozostawia przykryte przez noc, aby rozmiękły. Nazajutrz miesza się owsiankę z sokiem połówki cytryny oraz łyżką surowej ocukrzonej śmietanki i łyżką mielonych orzechów lub migdałów. Tuż przed podaniem dodaje się duże utarte na tarle wraz z łupką jabłko, lub filiżankę jagód, porzeczek itp. Także owoce pestkowe np. śliwki lub morele drobno pokrajane mają tu zastosowanie. Również śliwki suszone wymyte w gorącej wodzie, następnie zmielone w maszynce od mięsa mogą być do tego celu użyte.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Nie każde gospodarstwo stać na dużą lodownię, a przecież wiele jest artykułów spożywczych, które trzeba chronić nietylko w lecie przed ciepłem promieni słonecznych, ale również i w zimie, gdy w pokojach mieszkalnych piece lub kaloryfery utrzymują odpowiednio ciepłą temperaturę. Dlatego to przedstawiona na ilustracji masielniczka, zbudowana na zasadach termosu, okazuje się niezwykle cennym rekwizytem w każdem gospodarstwie domowem.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 46

Listopad

30 dni

NIEDZIELA	7	Herkulana	Bulion z groszkiem ptysiowym. Rizotto z podróbkami. Kapłon nadziewany z kompotem. Budyń z jabłek z galaretką morelową. Kolacja: Pasztet z wątróbek z sałatką.
PONIEDZ.	8	Sewera	Grochówka z grzankami. Wędzonka z purée grochowem. Befsztyki z jarzynami. Legomina z makaronu wypiekana. Kolacja: Strudel z słodką kapustą.
WTOREK	9	Teodora	Zupa jabłeczna z sagiem. Płucka cielęce w sosie cytrynowym. Zrazy à la Nelson. Kompot mieszany. Kolacja: Rydze duszone z cebulką.
ŚRODA	10	Andrzeja	Zupa pomidorowa czysta z ryżem. Omlet z szpinakiem. Pieczeń barania z czerwoną kapustą. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Parówki z sosem musztardowym.
CZWARTEK	11	Marcina b.	Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Kuropatwy w śmietanie z kluseczkami. Krem bruśnicowy. Kolacja: Brukselka i kalafior z masłem.
PIĄTEK	12	Marcina pap.	Barszcz zabielany z jajem. Kotlety jarzynowe z grzybowym sosem. Ryby w pomidorach z makaronem. Mądrzyki z sera z śmietaną. Kolacja: Szprotki w oliwie.
SOBOTA	13	Stanisława Kost.	Zupa cytrynowa z grzankami. Kruszka cielęce osmażane. Zrazy zwijane z kaszą. Legomina z naleśników wypiekana. Kolacja: Omlety z szynką.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„POLSKI IDEAŁ WYCHOWAWCZY" ST. ŁEMPICKIEGO. Autor daje treściwy przegląd tego, co w ciągu dziejów uchodziło u nas za ideał wychowawczy. Po wstępnym rozdziale, omawiającym kształtowanie się i przemiany ideału wychowawczego — autor omawia ewolucję tego pojęcia. Od okresu, w którem panował postulat dobrego katolika, rycerza o zabarwieniu rzymsko-republikańskiem i miłośnika wolności przechodzimy do epoki Komisji Edukacyjnej. Tutaj zapanował ideał obywatela, łączącego realizm z idealizmem. Czasy po powstaniu listopadowem to okres romantyzmu, podnoszącego sztandar bohatera niepodległościowego, a także rycerza-mesjanisty, walczącego o wolność innych narodów. Po upadku powstania styczniowego następuje zwrot do pozytywizmu, do wszystkiego, co realne i nie ulega „mrzonkom". Podkreśla się rolę woli i rozsądku, jednostka ma być pracownikiem społecznym. Szczepanowski stara się o syntezę polskiego idealizmu z postulatami praktycznego życia. Brzozowski wysuwa hasło pracy, stawiając podwaliny pod kult powszedniego, twórczego wysiłku. Wreszcie Piłsudski był wychowawcą Polaka, który ma być żołnierzem niepodległości, a następnie człowiekiem czynu. Polsce niepodległej wysuwa Piłsudski hasło „Wyścigu pracy". Człowiek. Polski odrodzonej ma być przejęty myślą o wielkości i mocarstwowości narodu, uniezależnionego od obcych duchowo wpływów. „Kultywując w duszy idealizm i instynkt heroiczny — pisze prof. Łempicki o tym ideale — winien na codzień stać się niestrudzonym pracownikiem na polach ojczyzny, entuzjastą i fanatykiem szarej, codziennej a twórczej pracy".

Jakże zdaniem autora wygląda dzisiaj polski ideał wychowawczy? Podłożem nowoczesnego wychowania ma być zgodnie z tradycją etyka katolicka, następnie trzeba uwzględnić rolę wychowawczą rodziny i domu, należy także dbać usilnie o współpracę szkoły z domem. Dewizą powinno stać się: „Wychowywać Polaka i Polkę z e w z g l ę d u na Polskę".

„PIĘCIOKŁOS" EDW. KOZIKOWSKIEGO. Od pierwszego tomiku z roku 1921 („Płomyk świecy"), aż do zbioru „W towarzystwie wierzby" (1929) prowadzi droga rozwoju poetyckiego.

O ile w pierwszych utworach znać echa stylu „młodopolskiego" w postaci dźwięcznych, nastrojowych strof, podzwaniających wpływami Tetmajera — w powojennych wierszach odzywają się motywy urbanistyczne. Był taki okres, kiedy sensację budził wiersz o ramie okiennej, o pląsach ryby w koszyku lub zbląkanym tramwaju, ale niebawem Kozikowski zbliży się do przyrody. Tym razem nie będzie żonglować ozdobną ornamentyką, lecz znacznie rozkoszować się bezpośredniem zetknięciem z naturą. Będzie wysłuchiwał jej mowy w Beskidzie, gdzie zbrata się z piewcą Powsinóg beskidzkich, Zegadłowiczem. Górska przyroda obdarzyła go spokojem wewnętrznym.

W nowszych swych utworach poeta nie obawia. się „lokalizować" wizji poetyckiej. Wycieczka na Lipowiec, Czartak, z Wadowic do Mucharza itp. Świadczy to, że poeta nie ucieka od rzeczywistości, że czuje się dobrze zdala od ulic i domów, wśród uroków świata górskiego:

Czyliż potrzeba więcej
(jak dziwnie brzmią te słowa),
niż żeby wiatr goręcej
pieścił mnie i całował.

J. J.

NA SCENIE.

KRAKÓW. Reżyser „Wielkiej miłości" Franciszka Molnara, J. Karbowski poszedł za przykładem Warszawy, gdzie Osterwa po kilkunastu przedstawieniach skrócił sztukę węgierskiego autora, obcinając ostatni (szósty!) obraz, jako niekonieczny. Na scenie teatru im. Słowackiego mamy także pięć odsłon. Rzecz kończy się rezygnacją Małgorzaty. Musi ona zrezygnować z myśli „uszczęśliwienia" własnej siostry i Jana wbrew ich woli i pragnieniom.

Małgorzatą była Zofja Jaroszewska, pełna tajemniczości i powabu, grająca wobec siebie i innych rolę kobiety, wyższej nad „ziemskie" uczucia. W roli Jana dobrze spisał się Mieczysław Węgrzyn, jako pustak i lekkoduch. Rzekomo „niewinnym" Ludwikiem był Z. Modzelewski, który doskonale utrafił w ton komedji. Pozatem trzeba wyróżnić p. J. Korecką (Jej Ekscelencja) i K. Opalińskiego (ogrodnik Horwat).

Nowoczesną oprawę dekoracyjną (wnętrza) skomponował p. Karol Gajewski.

POZNAŃ. Sztuka Marji Jasnorzewskiej pt. „Dowód osobisty", po sukcesach w Warszawie i Lwowie, przywędrowała na scenę Teatru Polskiego w Poznaniu. Czołowe role przypadły Karolinie Sroczyńskiej (Malwa) i Mrożewskiemu (dr Goryczko). — Z innych wykonawców należy wymienić pp. Burbiankę (żona dr Goryczki), Sachnowską (babka), Strzelecki (hr. Zebrzydowski).



Niedziela, 7 listopada.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Koronowa.
11.15 Regjonalna transmisja z Koronowa.
12.03 Poranek symfoniczny z Katowic.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego potrochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Utwory na dwa fortepiany.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
18.55 Słuchowisko „Jak Sobieski z Kowalichą tańcował".
19.35 „Słynni wirtuozi" — IV audycja.
21.15 Dwa skecze z Łodzi.
22.05 „Najpiękniejsze pieśni Moniuszki" — II audycja.
22.25 Recital fortepianowy St. S. nalskiego.

Poniedziałek, 8 listopada.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztatu": „Wywiad z cukiernikiem".
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią poo kraju".
16.15 Wesoło i sentymentalnie — koncert.
17.00 „Semmelweiss — twórca antyseptyki" — odczyt.
17.15 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza.
18.10 Dwie pianistki jazzowe (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Dyskutujmy: „Droga rozwoju, czy droga przewrotu"
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.55 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — II audycja.

Wtorek, 9 listopada.

11.15 Auycja dla szkół.
11.40 Franciszek Liszt: „Koncert Es-Dur (z płyt).
12.03 Audycja południowa.
15.45 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — audycja dla dzieci.
16.15 Trio salonowe Rozgłośni Poznańskiej.
17.15 Koncert orkiestry dętej.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór III.
19.30 Polska twórczość chóralna.
20.00 Muzyka taneczna z filmów dźwiękowych.
21.00 Koncert symfoniczny z Torunia.
22.00 Recital skrzypcowy Orlanda Barero.
22.35 Muzyka taneczna z płyt.

Środa, 10 listopada.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Eryk Coates dyryguje własnemi utworami (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci.
16.00 „Uczmy się mówi".
16.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
17.00 „Sowiety — państwo pokoju" — odczyt.
17.15 Żołnierz w poezji i pieśni — aud. liter.-muzyczna.
17.50 „Mój mały pacjent i jego duża mama" — pogadanka.
18.10 Lekkie wiązanki (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Ranek 11 listopada 1918 r.", scena z powieści.
19.20 Krótki recital harfistki węgierskiej K. Szarvas.
19.35 „Śladami myśli prof. Twardowskiego: „O egoizmie".
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji.

Czwartek, 11 listopada.

9.00 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Ostrej Bramy.
10.10 Legjonowe echa — koncert.
10.40 Transmisja fragmentów rewji wojskowej.
12.03 Tańce polskie w wyk. Orkiestry Symfonicznej i chóru.
13.00 Audycja dla dzieci — wesoła rewja.
13.30 Polska muzyka rozrywkowa z Wilna.
15.00 „Wolność, radość i piosenka" audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni P. R.
16.30 Koncert solistów.
17.15 Przemówienie.
17.30 „Ognie czarnej róży" — słowa poetów o Zmartwychwstaniu Polski.
18.00 Utwory Ignacego Paderewskiego w wyk. J. Turczyńskiego.
18.45 Fragment z pism Marszałka Piłsudskiego.
19.00 Słuchowisko pt. „Pieśń dnia powszedniego".
19.45 Nasza marynarka gra — koncert.
21.00 „Miłostki ułańskie" — wodewil Godebskiego.
22.30 Polska muzyka taneczna.

Piątek, 12 listopada.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Modest Mussorgskij: Fragmenty z op. „Borys Godunow".
16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa.
17.00 Bibljoteka publiczna w Łod reportaż.
17.15 Siostry Burskie w swoim repertuarze oraz B. Kaczyński
18.10 Egzotyczne orkiestry (płyty)
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Pani Wicesgerentowa" — kurant staroświecki.
19.30 Pieśni starowłoskie w wy A. Szlemińskiej.
20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 13 listopada.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory skrzypcowe Piotra Czajkowskiego.
15.45 Słuchowisko pt. „Wesele lalki" — dla dzieci.
16.15 Orkiestra dęta.
17.00 „Artur Grottger — opowieść biograficzna".
17.15 „Od Aten do Bayreuth" — II audycja „Monteverdi".
18.15 Michał Zabeyda-Sumicki śpiewa piosenki białoruskie.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
21.45 Skecz „Klient".
22.00 Koncert popularny muzyki operowej.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.